

This ebook is for the use of anyone anywhere in the United States and most other parts of the world at no cost and with almost no restrictions whatsoever. You may copy it, give it away or re-use it under the terms of the Project Gutenberg License included with this ebook or online at www.gutenberg.org. If you are not located in the United States, you'll have to check the laws of the country where you are located before using this eBook.

Title: Jeden miesiąc życia: utwory prozą

Author: Ludwik Bruner

Release date: February 7, 2009 [eBook #28014]
Most recently updated: January 4, 2021

Language: Polish

Credits: Produced by Jimmy O'Regan, Ewa Jaros and the Online
Distributed Proofreading Team at <http://dp.rastko.net>

*** START OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK JEDEN MIESIĄC ŻYCIA: UTWORY PROZĄ

JAN STEN

JEDEN MIESIĄC ŻYCIA

UTWORY PROZĄ:

JEDEN MIESIĄC ŻYCIA. HAMLET. PRZYSIĘGLY. SPOTKANIE. W PEŁNEM SŁOŃCU. PIERWSZY
WIERSZ. TRZY DUSZE.

KRAKÓW
NAKŁADEM WYDAWNICTWA KRYTYKI
SKŁAD GŁÓWNY GEBETHNER I S-KA
1900

JEDEN MIESIĄC ŻYCIA.

[Str. 1]

Jeden miesiąc życia.

[Str. 3]

Paryż, dnia 10 grudnia.

Kochana Wandziu, nie pisałem do Ciebie przez kilka pierwszych dni po przyjeździe; spodziewam się, że nie masz mi tego za złe i rozumiesz, żem doprawdy czasu na listy nie miał. Chodziłem już ogromnie dużo i pobieżnie zwiedziłem prawie całe miasto. Nie będę Ci tego opisywał, bo wiesz, że nie lubię się nad takimi rzeczami rozwodzić. Od dwóch dni jestem zainternowany w domu, bo przyplątał mi się ohydny katar z bólem głowy i całym szeregiem innych rokoszy; wszystkiemu winien tutejszy miły klimat. Kiedym przyjechał przed tygodniem, było coś koło 0°, później nagle podskoczyło do 20° i jest znowu najzupełniejsza wiosna. Uwięzienie w domu jest mi tem przykrzejsze, że mieszkam dotąd u Turskiego, a jego pokoik jest tak mały, iż trudno się we dwóch tutaj obrócić. Rozumiesz, jak to drażni, gdy za każdym ruchem w dosłownym znaczeniu tego słowa trzeba o coś potrać; a mebli znów nie jest tak wiele: łóżko, stół, półka na książki, umywalnia i nieodzowny tu zawsze kominek—marmurowy, szykowny,—na którym się nigdy nb. nie pali.

[Str. 4]

Turski nie wiele się zmienił od tego czasu, kiedy przychodził do mnie w Warszawie. Nie urósł, nie zmężniał, taksamo zawsze łagodny i spokojny, że tą powagą do rozpaczki przyprowadzić może. Zastałem go w usposobieniu o wiele weselszem, niż to z jego listów wnosić można było. Sądzę, że dużo przesadzał, choć doprawdy bieda rzeczywiście dawała mu się we znaki. Czy miał jakie inne zgryzoty jeszcze, nie wiem. Kilkoletnie oddalenie okropnie nas rozłączyło jednak: stosunki są najprzyjaźniejsze, ale skrupowane jakieś i sztuczne. Ostatecznie, może mi się tylko źle zdaje i z biegiem czasu przyzwyczajamy się do siebie, choć wątpię, czy dojdziemy kiedykolwiek do takiej zażyłości, w jakiej byłem w ostatnich czasach z Bolesławem. Oczywiście, ten nie pisał do mnie i

nie wiem zupełnie, co się z nim dzieje.

Z dawnych znajomych prócz Turskiego jest tu jeszcze Polišski; przyjechał coŝ miesiąc przedemną i miał juŝ zabrać się do pracy, ale nic nie robi dotąd; chodzi po mieście i uczy się niby po francusku. Poznałem kilka osób nowych, przeważnie studentów, którzy się stołują w tej samej, co my restauracyi—nb. podłej, która tylko dla tego do cna nas nie struje, że daje porcye mikroskopowo-homeopatyczne. Byliśmy teŝ z wizytą u dwóch »koleżanek«—ma to pewien swój urok, choć o tej szpetocie, nie widząc, trudno mieć pojęcie. Te, których nie znam jeszcze, mają być nie lepsze.

[Str. 5]

Wobec stanu mego nosa i gardła, nie wiem, czy uda mi się wziąć do roboty przed Nowym Rokiem. Turski opowiada mi niestworzone rzeczy o trudnościach, które przewyciężyć trzeba, aby się gdziekolwiekbać dostać; taki ma być natłok po wszystkich pracowniach. Pewno przesadza, jak zawsze. Chociaŝ do nauki Paryŝ nie jest stosownem miejscem—zwłaszcza dla nas barbarzyńców. Taki tu wir, gwar, taka moc rzeczy nowych, których się nie widziało, takie mnóstwo rozrywek, znajomości, że trzeba ŝelaznej woli, aby nad sobą odrazu zapanować i do pracy się zaprzęgnąć. Zdaje się, że moja »ŝelazna« wola będzie pochodziła z braku »złotej« monety. Niestety, tylko takie alchemiczne cuda dziś się dzieją. A Paryŝ jest drogi piekielnie. Tu się czuje ten dreszcz złota.

—Muszę urwać ten list, bo przyszedł właŝnie Turski z Polišskim i postanowili mnie wyciągnąć z wizytą do jakiejś nowej koleŝanki, która przed tygodniem tu przybyła z Lublina; mieszka jeszcze na drugim końcu Paryŝa na Montmartre. Turski zaręcza, że podróż na Montmartre jest najlepszym środkiem na katar. Kończę więc—bo i tak juŝ nic nie mam do doniesienia i proszę Cię, abys odpisała natychmiast.

[Str. 6]

Twój brat

Jan.

Adres: Rue de la Sorbonne 5.

Dnia 12 grudnia.

Nie rozumiem, czemu się Turski tak zachwycał tą lubelską koleŝanką. Zdaje się, że szło mu o to, aby mnie wyciągnąć z domu i samemu później nie wracać. Wcale nie jest ładna, choć rzeczywiście ma miłą, dobrą twarz, a że jest samotna jeszcze i nie ma znajomych, przyjmuje nas z otwartymi ramionami. Byliśmy tam i wczoraj, gdyż ona lęka się chodzić po Paryŝu sama, choć umie niezłe po francusku. Oprowadzaliśmy ją po mieście, i to byłoby znośne, gdyby nie trwało zbyt długo. Zabawna dziewczyna: przyjechała niby studyować medycynę; zaprowadziliśmy więc ją najpierw do szkoły medycznej, do prosektoryum. Rzeczywiście panuje tam straszny zaduch, bo sala jest mała i źle przewietrzana. Stoły drewniane i niepodobna nigdy porządnie ich oczyścić. Rozćwiertowany trup sprawił na niej tak straszne wrażenie, że trzeba ją było czempędzej wyprowadzić. Przez kilka godzin nie mogła się uspokoić. Postanowiła teŝ odrazu, że porzuci medycynę i przeniesie się do Sorbonny na nauki przyrodnicze. Ja radziłem jej, żeby się wstrzymała z zapisem, bo panieńskim zwyczajem skończy zapewne na literaturze.

[Str. 7]

Jutro, jako człowiek jeszcze bez zajęcia, umówiłem się, że pójdę z nią załatwiać sprawunki. Musimy wyszukać nowe mieszkanie dla niej w dzielnicy studenckiej, kupić meble i tysiące innych drobiazgów. Nie miałem wielkiej ochoty na ten spacer, bo niewiele mam juŝ pieniędzy, ale niepodobna było się wymówić.

Dnia 16 grudnia.

Dobrze, że Turskiego nie było juŝ w domu, kiedy powrócił. Byłby to koniec naszej znajomości i przyjaźni. Jestem na niego tak zły, że gdybym się nie wstydził sam siebie, wyrzuciłbym mu chętnie jaką przykrość. Zły jestem tem więcej, że ta cała tak drobna w istocie rzeczy sprawa, tak mocno mię obeszła. Do wielu zawodów przybył jeszcze jeden; dlaczegóż ten właŝnie gniewa mię więcej od innych? Trzeba raz na zawsze pamiętać, że wyzysk jest pierwotną zasadniczą formą, w której się odciskają wszystkie na świecie stosunki.

Zimne ciało pochłania z gorętszego ciepła, elektryczny ładunek znika rozszarpany przez sąsiadów. Tu rabunek trwa jedną chwilę; ale wśród ludzi, którzy sami mogą się nanowo rozgrzewać i elektryzować, wyzysk ten przeciąga się żywołowo, bez końca. Jakikolwiek stosunek wziąć, zawsze jedna strona kocha więcej, druga więcej korzysta. Tak chce fizyka.

[Str. 8]

Tylko po co ten fałsz: narzekania w listach, skargi na samotność duchową, prośby, abym przyjechał. Dlaczego kłamać przed innymi i przed sobą, dlaczegoz ludzić się nazwami uczuć, których nie ma? Gdyby nie nazwy, które są symbolami, uczucia nasze nie różniłyby się wiele od uczuć ślimaka lub pająka.

Wczoraj nie miałem najmniejszej ochoty wychodzić wieczorem po obiedzie. Niezupełnie pozbyłem się jeszcze bólu głowy. Chciałem zresztą pomówić trochę z Turskim, bo w istocie rzeczy nie wiem, co on robi, nad czem pracuje, jakie są jego plany. Tymczasem Turski uparł się koniecznie, aby iść odwiedzić Zaleską, tę nową lubelską koleŝankę—»bo ona jest sama i potrzebuje ŝyczliwej opieki i towarzystwa«. Namawiałem go, żeby został, ale on uparł się dlatego, że z »zasady nie zmienia swych postanowień«. Czy taki koźli upór nie może do rozpaczy doprowadzić? Naturalnie i ja się

zaciąłem, dysputa stała się ostrą. Turski wyszedł,

trzasnąwszy drzwiami, a ja zostałem sam. Byłem tak zirytowany klótnią, że niepodobna mi było czemkolwiek się zająć; zresztą, jak czytać przy lampie, w której zabrakło nafty! Ogarnęła mię taka złość, jakgdyby Turski naumyślnie był mię zostawił bez światła. Położyłem się na łóżku, lecz nawet z bólem głowy niepodobna zasnąć o dziewiątej. Cisza jest tu straszna, bo okno wychodzi na podwórze, a w domach francuskich ogromnie spokoju pilnują. Tuż obok huczy gwarem i krzykiem Boul-Mich, a w tym pokoju nawet mysz nie zaskrobie. Zdjął mię jakiś niemiły lęk, dziwne wrażenie, które obiega po całej skórze i zewsząd w głąb się przeciska.

[Str. 9]

Zdawało mi się, że lada chwila drzwi się usuną i będzie można spojrzeć w ciemny, długi korytarz, w którym zwykle okropny przeciąg wieje. Gdziekolwiekbydź próbowałem patrzeć, po chwili musiałem zwracać oczy, aby się przekonać, że drzwi są jeszcze—choć czyniłem to bez strachu. I znosić to wszystko dlatego, że Turskiemu podobało się odwiedzać na Montmartre głupią pannę i wypalać naftę do ostatniej kropli!!

Nie mogłem wytrzymać dłużej w mieszkaniu i wyszedłem na miasto. Wszędzie tłok i wrzawa, kawiarnie przepelnione; mimo chłodnego wieczoru wszyscy siedzą na ulicy, wszędzie porozstawiane stoliki, między którymi przesuwac się trzeba. Doszedłem do Sekwany, przyglądałem się różnobarwnym światelkom nanizanym, jak paciorki, na jej brzegi, ale rozdrażniała mię ta ciemność i zawróciłem na Boul-Mich. Chodziłem bez celu znudzony i zły na samotność, którą najgorzej odczuwa się w tłumie. Wreszcie po jedynastej spotkałem Polińskiego: wracał z Folies Bergères; był zachwycony, bo widział wystawę przepysznych ciał, które przecież nie jemu się dostaną. Ale przeciętny człowiek jest już z urodzenia altruistą i gdy nie ma własnej, cieszy się rozkoszą cudzą. Przecieź gdyby radość bliźniego nas bolała, to w takim Paryżu, gdzie jest tyle do wzięcia, że ciągle czegoś sobie odmawiac trzeba—jutro nie byłoby nic, prócz mordu i pożogi. Poliński nie był jednak doskonałym altruistą, bo zapragnął czegoś i dla siebie i namówił mię, abysmy poszli »na piwo« do Café d'Harcourt. Mnóstwo studentów i drugie tyle dziewczyn »étudiantes«, nb. o wiele ładniejszych od tych prawdziwych »studentek«, których my do Paryża dostarczamy... Poliński odnalazł jakąś znajomą swoją Jeanne, ta sprowadziła swą koleżankę »Gabrielle« i zaczęliśmy się bawic—po francusku t. j. gadać tysiące głupstw w mniej lub więcej swobodnej pozie, popijając kufelkiem piwa. Potem biegaliśmy po bulwarze, śpiewając: »ce n'est pas de la merde ça, c'est du chocolat«, potem rozeszliśmy się parami... Potem wróciliśmy do domów każdy oddzielnie, unosząc wspomnienie, a zostawiając dwa luidory, które nas »cet amour« kosztował. »Cet amour« gdyż to tutaj w potocznym języku nazywa się miłością; taksamo jak to, co u nas jest ordynarnem przekleństwem, tutaj zwie się »pocałunkiem«. To jest potęga kultury, ale my barbarzyńcy tak nie umiemy się bawic. Tak długo śpiewano nam o świętości uczucia, że przynajmniej rozpusta musi być dla nas dziksza, bardziej szaloną i bardziej rozpasaną. Cośmy wyprawiali w Warszawie z tą Mańką modelką... I bawic się na trzeźwo—nie umiemy także, a tu się nie upija nikt.

[Str. 10]

[Str. 11]

Gabrielle jest wcale przystojna, i gdybym był więcej zmysłowy, powinienbym być zadowolony z tej świeżej znajomości. Wątpię jednak, czy ją odnowię, bo... cena. Wobec tego, co ma przeciętny student-Francuz, my jesteśmy nędzarzami.

Tymczasem korzystam z nieobecności Turskiego, aby zapakować rzeczy i książki, bo dziś lub najdalej jutro chcę stanowczo od niego się wyprowadzić. Gdybym to robił przy nim, zacząłby mię napewne zatrzymywać, boby mu się zdawało, że jestem zagniewany i nic chcę dłużej jego gościnności. Ostatecznie miałyby może rację, ale nie chcę, aby to po mnie poznał. Właściwie są to tylko drobnostki: nie rozumiemy się już tak, jakeśmy się rozumieli i znali dawniej; oto cała sprawa.

[Str. 12]

Dnia 18 grudnia.

Przechodząc koło Sorbonny, spotkałem wczoraj Zaleską. Robiła mi wymówki, dlaczego nie byłem u niej razem z Turskim. Pytała o Turskiego, ale nie mogłem jej nic powiedzieć, gdyż wyprowadziłem się od niego jeszcze dzień przedtem, i od tej chwili go nie widziałem. Zaproponowała mi, aby pójść z nią do teatru, bo jest już późno, a nie wie, gdzieby Władka Turskiego znaleźć mogła. Zgodziłem się chętnie, bo chciałem widziec teatru paryskie, a sam długobym się namyślał, aby się na wielkie bulwary wybrać. Poszliśmy do Renaissance, gdzie grywa Sarah Bernhardt. Widziałem już niejedną aktorkę—i Modrzejewską i Duze, ale żadna z nich mierzyć się z nią nie może. Przepyszny glos: miękki, potoczysty, melodyjny. Mogłaby stać bez ruchu i mówic tylko, a byłaby to już nieporównana gra. Najpierwsza aktorka świata.

Moja towarzyszka, jak prawdziwe dziecko barbarzyńców, wpadła w taki zachwyty, że musiałem ją wciąż powstrzymywać, aby zachowywała się spokojnie i nie przeszkadzała sąsiadom.

Po spuszczeniu zasłony była jakby nieprzytomna: gwar i huk bulwarowy odurzył ją do reszty; niezmiernie zabawny miałem widok. Uparła się, żeby wziąć ją w pół, pod pachę, jak zwykle chodzi się z »etudiantkami«, i pójść z nią przez bulwary. Zaprowadziłem ją do Café Riche: olśniło to ją do reszty.

[Str. 13]

Przechadzka taka jest wcale przyjemna, przyjemniejsza może niż ta sama rozrywka z Gabryelą. Za to brak zakończenia. Cóż robić...

Dnia 19 grudnia.

Kochana Wandziu, list ten piszę do Ciebie już z nowego mieszkania; od trzech dni mieszkam już sam, na rue des Ecoles 1. 72. Mam ładny pokój; na czwartym wprawdzie piętrze, ale za to widok na cały plac przed Collège de France prześliczny. Pokój ustronny, cichy, doskonały do pracy, ale nie wiem zupełnie, jak ta praca pójdzie. Wstęp do wszystkich bibliotek już uzyskałem i o ilem przejrzał pobieżnie katalogi, znajdę tu mnóstwo materiałów do wszystkich robót, które rozpocząłem. Zaraz po świętach, spróbuję zmusić się do systematycznych zajęć, choć nie wierzę w ich rezultat.

Pytasz mi się, czy piszę co obecnie i czy wykończę tę powieść, które; urywki Ci czytałem. Odpowiedź, znając mnie, zgadujesz dobrze. Niestety, nie piszę nic... prócz pamiętnika. Ale [Str. 14] pochodzi to nie tyle z braku czasu—jakeś wywnioskowała z pierwszego mego listu—ile z braku chęci, zapału i poprostu—mocy. Przechodzę jakieś dziwne osłabienie duchowe; chwilami zdaje mi się, że wszystko się rozsypuje we mnie; taka próżnia tworzy się w myślach. Nie wiem, czy to jest skutek tego, że się wyrwałem z otoczenia, w którym wzrosłem i do którego przywykłem—ale Paryż szalenie mi przygnębia. Tu gdzie wszystko tryska namiętnością, szalem, przepychem, wszystko wre, krąży i huczy, gdy się czuje dreszcz, który przenika i pali te trzy miliony istot ludzkich—wtedy nie można znieść tej myśli, że się nie ma nic, nic zupełnie. Nietylko o majątku mówię; ale czym jest to wszystko, co czułem lub czuć mogę, wobec ogromu, co tu na okół mnie szumi... Gdy chodzę czasem wieczorem po ulicach, to poczucie obcości, znikomości tak mię przeraża, że szarpałbym palcami kamień, aby ryse w nim wyżłobić, ślad jakiś, że istniał.

Dobrze, żeś mi na święta nic nie przysłała, bo tu jest mnóstwo utrudnień celnych, i miałbym tylko kłopotów i wydatków bez liku. Święta prawdopodobnie spędzę w domu: tu nie obchodzą Bożego Narodzenia tak uroczyście, jak u nas. Na Wiliją mam dwa zaproszenia: jedno do panny Zaleskiej, [Str. 15] naszej koleżanki, o której bodaj, że ci wspominałem w uprzednim liście; drugie—do doktora Korzyckiego, który tu od dziesięciu przeszło lat jest osiedlony i zwykle zbiera u siebie na Wiliją towarzystwo polskie. Tam w każdym razie nie pójdę, bo nie lubię towarzystwa zupełnie obcych ludzi. Najchętniej rzeczywiście zostanę w domu.

Nie piszesz mi nic o zdrowiu swoim: zwykle zmiana pory roku Ci szkodzi, zwłaszcza, gdy przy tych słotach biegasz za lekcyami. Nie czytałem dawno »Kuryera«; nie wiem więc, jaka u was pogoda. Tu wiosna bez ustanku: sypiam przy otwartych oknach.

Odpisz mi jaknajrychlej, bo jestem zawsze niespokojny, kiedy zbyt długo nie ma od Ciebie wiadomości. Pisząc zrobisz miłosierny uczynek, bo wierzaj mi, że Paryż nie jest dla mnie dotąd wcale obiecaną ziemią wesela i rozkoszy. Przypominam Ci nowy adres (rue des Ecoles 1. 72).

Twój Janek.

Na Wiliji będziesz u wuja?

Dnia 21 grudnia.

Po co ja wczoraj ten list do siostry wysłałem? Nie pamiętam już dokładnie, com napisał, ale [Str. 16] napewne za dużo. Chyba po to wspominałem jej o tem rozdrażnieniu i przygnębieniu, aby dręczyć to najszlachetniejsze i jedyne zapewne przywiązanie, którego doznałem. Miłość matki ma w sobie zawsze coś zwierzęcego, jak przywiązanie samicy do płodu; miłość kochanki—to maniackie zaspokojenie potrzeby; miłość siostry dopiero jest świadomem, prawdziwie ludzkim uczuciem, którego żadne inne zwierzę nie zna, choć wszystkie płodzą się i przyjaźnią. Rozumiem, dla czego we wszystkich pierwotnych mytach ludzkości występuje zawsze związek brata i siostry, jako naturalne, jakby od przyrody samej przeznaczone stadło.

Jestem przekonany, że list mój zmartwi Wandę do żywego. Gotowa sobie Bóg wie co o mnie wyobrażać. Ostatecznie wprawdzie nie skłamałem o swoim rozdrażnieniu, ale w każdym razie bardzo przesadziłem, bo w ogóle przecież czas upływa mi dość przyjemnie. Jestto mała, obrzydliwa nikczemność, bawiąc w Paryżu, dręczyć biedną dziewczynę pisaniem podobnych listów. Tym głupsza, że bezcelowa.

Dnia 22 grudnia.

Dziś rano przyszedł do mnie Turski po raz pierwszy. Przepraszał mię bardzo, że wcześniej przyjść [Str. 17] nie miał czasu, gdyż przygotowywał się do egzaminu i nawet wieczorem przesiadywał się do egzaminu i nawet wieczorem przesiadywał w bibliotece. Do naszej zwykłej restauracji też nie mógł przychodzić, gdyż musiał towarzyszyć Zaleskiej na obiady, a tam, gdzieśmy się stołowali, kobietom bywać nie wypada. Na tem rozmowa się urwała, gdyż właściwie nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Wreszcie Turski przypomniał mi, że jestem na Wiliją proszony do Zaleskiej, ale że za to muszę przyjść dziś do niej popołudniu pomagać—jako dragoman—w kupowaniu zapasów, i jako tragarz—w przynoszeniu ich do domu. Turski prosił mię, abym idąc tam wstąpił po niego, gdyż nie mając zegarka, mógłby się łatwo zasiedzieć i spóźnić. Z zachowania się Turskiego mogłem wnosić, iż zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo mię raził nasz dzisiejszy stosunek

tak różny od dawnej przyjaźni. Rozdrażnienie moje tłomaczył sobie, jako kaprys wywołany kaszlem i katarem. I mnie dziś ten stosunek nasz mniej drażni, skoro rozstaliśmy się i widzujemy się o tyle rzadziej. Ostatecznie, wszystko jedno.

Popołudniu, wybraliśmy się, jak było umówione, po sprawunki. Pierwszy raz byłem u Zaleskiej w jej nowem mieszkaniu, już w naszej dzielnicy. Przyzwyczała się trochę do Paryża, do życia tutejszego i nowych nieco dla niej stosunków koleżeńskich. Do Wilii nie czyni się tu wielkich przygotowań i nie ma też w sklepach takiego niemilosiernego tłoku, jak u nas: można więc było swobodnie rozmawiać. Jest to sympatyczna dziewczyna, zwłaszcza, że w niczem niepodobna do przeciętnego typu studentek. *Au physique*—umie się ubrać i ma bardzo zręczne ruchy; *au moral*—nie ma w niej tego zaciętrzewienia i cierpkości, słusznej może, ale tak niemilej w uczących się kobietach. Chyba nie będzie długim gościem w Paryżu; jej za bardzo obojętne jest, co ma studyować, aby w ogóle miała na seryo coś robić. Zdaje mi się, że przyjechała tu, aby wydobyć się z domu i pozbyć dawnego otoczenia. Mogę się mylić zresztą, bo o tem rozmawialiśmy tylko urywanemi zdaniem.

[Str. 18]

Sprawunków zakupiliśmy tyle—niepodobna było Zaleską wyrwać od Potina—że trzeba było wziąć dorózkę, aby odwieść wszystko do domu. Zaleska pojechała z Turskim, a ja zostałem, bo nie chciało mi się tak wcześniej wracać z bulwarów na lewy brzeg. Siadłem przy stoliku w kawiarni niedaleko Opery i przyglądałem się przez kilka godzin tym tłumom, które przesypywały się bezustanku z jednego końca bulwarów na drugi. Ten tłum nie rozdrażniał mię tak, jak zwykle, lecz dziwnie jakoś kołysał, wciągał w siebie i pochłaniał. Pamiętam, że podobnego wrażenia doznawałem niegdyś, leżąc nad brzegiem morza, gdy fala, jedna za drugą, bez ustanku, pchana wiatrem, którego wyczuć niepodobna było, biegła na piasek z pluskiem i tysiącem szemrzących strumyków nazad się cofała. I tu i tam nieskończoność ruchu, która pociąga i znicestwia. Wróciłem późno w nocy.

[Str. 19]

Dnia 23 grudnia.

Zabawił mię dziś Poliński. Po obiedzie byłem z nim w kawiarni. W ogromnie ciężkich i zawitych, jak zawsze, frazesach opowiadał mi—z tajemniczą miną—że mu się zdaje, jakoby Turski miał się do Zaleskiej, a i »ona na to, jak na lato«. Przestrzegał ich nawet żartobliwie słowami bajki:

Ostrożnie dzieci, wy się źle bawicie,
Dla was jest to igraszką, tu chodzi o życie.

Pyszny materyał na wujaszka z tego Polińskiego!

Poliński ogromnie lubi udawać człeka przemysłnego a znawcę dusz ludzkich—ale tu zdaje mi się, że się pomylił i puścił tylko głupią plotkę. Jak tam z panną, nic wiem: ani mię to obchodzi, ani ją znam dostatecznie, abym wiedział, jak się u niej słabość sercowa objawia, choć taki spacerek do Café-Riche kobiety zakochanej wcale nie zdradza. Ale Turskiego to Poliński znów wcale nie zna. On zawsze i wszędzie lubił się opiekować, patronować komuś, jeśli sądził, że jestto potrzebne. Lubi, żeby go poważano i słuchano jego słowa i rady. Dlaczego więc i tutaj nie ma się zaopiekować, zwłaszcza, gdy ta opieka ma przeciwie swoje smaczne strony. W tej posusze rodaczek Zaleska doprawdy jest najprzystojniejsza, a wydaje się miłą, bo bardzo jest wdzięczna każdemu, kto ją odwiedza.

[Str. 20]

Na plotkarskiej psychologii Polińskiego zarobię dziesięć franków; zabawiliśmy się bowiem w miłosnego totalizatora: meta—pierścionek zaręczynowy na palcu, czas—Wielkanoc, stawka—dziesięć franków. Szkoda, że nie setka.

Poliński ma też być na Wilii u Zaleskiej. Będzie więc nas czworo.

Dnia 24 grudnia.

Nie miałem najmniejszej ochoty pójść do Zaleskiej, a kiedym zostałem w domu, zły jestem na siebie i żałuję tego. Wola moja składa się zawsze jakby z dwóch połów, z których jedna jest zaprzeczeniem drugiej. Jaka połowa stanie na wierzchu i wysunie się jako czyn—jestto rzeczą przypadku, przelotnego wpływu, którego nieraz nawet sam nie dostrzegam. Zarówno w drobnostkach, jak i w najważniejszych sprawach—postanowienie jest dla mnie męczarnią, której nie znam równej.

[Str. 21]

Jakbądź się stało, siedzę w domu sam, a jest już po dziesiątej, a więc za późno, żeby wyjść do Zaleskiej. Mogli zresztą przysłać po mnie, jeśli byli zaniepokojeni lub jeśli im zależało rzeczywiście na mojej obecności. Niechaj się bawią... W mieście wszystko pozamykane; nawet kawiarnie zaświećtowały od dziewiątej. Zresztą codziennie mam dosyć wrzawy i gazet.

Cisza, cisza... Wypełza z kątów, wylata ciężkimi skrzydłami, potężnieje, nabrzmięwa, wznosi się jak fala i usta, oczy, głowę mi zatapia. Wszystkimi szczelinami wchodzi do wnętrza mej istoty, rozlewa się w krwi i kościach, sączy się do serca, a dzwoni i huczy, jak muszla pusta, gdy do ucha ją przyłożyć. I nie lęka się ani szelestu kroków, gdy chodzę po pokoju, ani szmeru kartek książki, którą przerzucałem, ani dźwięku piosenki, którą próbowałem nucić—ale wchłania je w siebie, przetrawia i w ciszę taką samą, niezmaconą, przemienia... Rozpacz!

Nie chciałem iść do Zaleskiej, bo ostatecznie, cóż mię z nią i tymi wszystkimi ludźmi wiąże; ale teraz dałbym nie wiem co, aby wyrwać się z tej ciszy, mówić i słyszeć głos ludzki.

I to jest życie, młodość? Ta ohydna pustka, nicość? Chciałbym raz żyć, szaleć, płonąć, chociażby cierpieć przyszło i zginąć. Ale pragnę, a nie umiem tego—lub też dla mnie innych potrzeba rozkoszy, niż te, które wszystkich sycą. Mam może za twardą duszę, aby ją zwykłe rylce rysować i rzeźbić mogły. A może tylko nie umiem czuć, nie umiem żyć i radować się życiem—bo i to jest sztuka, którą wyssać lub której nauczyć się trzeba. Cała przeszłość moja prześliznęła się dotąd po mnie, jak fala po głazie, nie zostawiając w swym odwróceniu nic, prócz piany i szumowin. Miałem może zadowolenia i radości, ale szczęścia, tego wielkiego słonecznego szczęścia nie widziałem nigdy. A wszystko inne jest surrogatem, blichtrzem, fałszem, tylko szczęście jest pięknem i prawdą. A jednak... drżało mi niegdyś w rękach serce dziewczęce, niewymownie piękne i czyste—i porzuciłem je wprzód, zanim może zdołałem się przesyć. Marzyłem o sztuce, o poezji—i napisałem kilkadziesiąt wierszy, gdy przecież żyć, samo życie powinno być pięknem. Żyć każdą iskrą krwi, każdym błyskiem duszy—to tylko jest sztuką.

[Str. 22]

Tymczasem jest cisza, cisza... Minęła już północ, a nie nadchodzi ani sen, ani znużenie, nic, prócz ciszy.

.....
.....

Na niebie mojem chmury,
Lecz z nich nie strzelą gromy, zwiastuny złotych burz.
Ogrody moje kwitną,
Lecz niema fiołków w nich, lilij białych, ani róż.
Ponure moje oczy,
Lecz suchej ich źrenicy nie zwilży srebrna łza.
Zmęczone moje dłonie,
Lecz ręka, co omdlewa, nie rwała paszczy lwa.
Stęsknione moje serce,
Lecz w piersi rozmarzonej ohydna żądza trwa.
Pogodne moje czoło
Lecz w czaszce rozpalonej bezsilna rozpacz łka.

[Str. 23]

To prawda... lecz na cały wieczór męki, to za mało.

Od dzisiaj zabrałem się do pracy; biblioteka jest otwarta i myślę przesiadywać tam codziennie pięć do sześciu godzin. Opracowywanie materiałów w domu też pochłonie czasu sporo. Po za swoją pracą nie chcę o niczem wiedzieć, nic więcej mię tu nie powinno obchodzić. Życie w Paryżu może być równie jednostajne, jak w każdym innym ludzkim gnieździe. Ten gwar wielkoświatowy, umysłowe i polityczne prądy, całe tętno świata, którego byłem tak ciekaw, o wiele wspanialej przedstawiają się zdaleka, aniżeli tu na miejscu wśród wrzawy drobnych, codziennych wypadków. Jak zawsze drzewa zasłaniają las.

Przyroda tak samo jak ja, zabrała się do zimowej pracy i osypała nas śniegiem i opadła mrozem, jak na Paryż, niezwykłym. Zimno, które tu panuje zwykle w mieszkaniach, ożywia zawsze stosunki towarzyskie w kolonii polskiej. Ludzie zbierają się razem i grzeją się... ciepłem zwierzęcem. Dzisiaj wybieram się z Polińskim na wieczór do Łużeckiej.

[Str. 24]

Wczoraj byłem u Zaleskiej, aby się wytłómaczyć, żem na Wilią nie przyszedł. Zaleska udawała zagniewaną, nie chciała słuchać wymówek, powtarzając, że zrobiłem jej tylko niegrzeczny kaprys. Zresztą miałem za ten »kaprys« najwięcej żałować sam, bo bawili się doskonale. Poliński był zmęczony i wyszedł wcześniej, ale z Turskim doczekali północy.

Zaleska była w ogóle niezwykle wesoła i rozbawiona. Prosiła mię, abym zabrał ze sobą Turskiego i przyszedł do niej po raz drugi popołudniu—ale odmówiłem, bo nie chcę zupełnie zacieśniać swego stosunku z Turskim więcej, niż jest obecnie. Najlepiej będzie, jeśli będziemy chodzili każdym swojemi drogami.

Dnia 27 grudnia.

Dzień dziesiąty należy do najciekawszych w moim życiu. Spotkałem Turskiego na obiedzie, siadł przy mnie. Przypomniałem mu, że mamy się zejść z Polińskim i Starzewiczem w kawiarni wieczorem i iść razem na posiedzenie francuskiego towarzystwa studenckiego. Zaproszono nas, i chciałem bardzo poznać życie francuskie nieco bliżej, niż to można uczynić na ulicy. Odpowiedział mi, że musimy mu wybaczyć i iść bez jego przewodnictwa—on przecież najdawniej z nas mieszka w Paryżu—gdyż on wieczorem wybiera się do Zaleskiej. Powiadam mu pół żartem, że to zaczyna być podejrzane. A on mi na to, patrząc zabawnie w oczy: »dlaczego?«—i dodaje z wolna: przegrałeś dziesięć franków... Tak mi się wydawały dziwne mina jego, głos i ta radość cała, widoczna na twarzy, że początkowo po prostu trudno mi było z nim mówić.

[Str. 25]

Ale potem rozgadaliśmy się i miałem takie wrażenie, jakgdyby przegroda, która nas dzieliła upadła nagle i wróciły dawne czasy nieograniczonej ufności i przyjaźni. Opowiedział mi wszystko. Właściwie zakochał się jakoś nagle i niespodzianie, i już w kilka dni po moim przyjeździe nie mógł sobie dać rady z tem uczuciem, które chciał zdławić, bo nie śmiał wierzyć, aby ona go kochała. Był tak rozdrażniony, że tylko udając zupełną na wszystko obojętność, mógł jakoś ukrywać, co się

z nim dzieje. Tymczasem ona kochała go już wtedy, kiedy jeszcze ledwie się znali, i płakała po nocach i uspokoić się nie mogła, jeśli go przez dzień cały nie widziała. Widziałem dobrze, jak jej był za tę miłość wdzięczny. Oświadczyli się sobie w dzień wili, po odejściu Polińskiego, tak jakoś zniechęca, że trudno by powiedzieć, kto właściwie dał początek. Przesiedzieli wtedy razem prawie do rana. Był zakochany, kochany, zaręczony, szczęśliwy. To wszystko i chyba dosyć.

[Str. 26]

Rozmawialiśmy długo, bardzo długo. Ja mówiłem nie wiele, bo tak mię nowe położenie Turskiego dziwiło, a nawet, czegom się nie spodziewałem, wzruszało, że trudno mi było myśl jakąś skleić; natomiast on opowiadał bez przerwy. Naturalnie, chciał się żenić, ale nie było to możliwe prędzej niż za trzy lata, po ukończeniu studyów: czas ten jednak przeleci prędko, o tem nie ma mowy. Ona zgadzała się na wszystko, byle być z nim.

Nie spotkałem jeszcze w życiu człowieka tak uradowanego: radował się w nim doprawdy każdy atom krwi. I czegóż w radości tej nie było: miłość, wdzięczność, nadzieja, duma, szczęście, wszystko!

To jednak niezwykły charakter jest Władek Turski. Wśród nas, którzy z rodzinnego domu nie dostajemy nic, prócz banalnych przepisów, a z życia bierzemy tylko to, co na wierzchu najdostępniejsze, on rzeczywiście sprawia wrażenie arystokratycznego dziecka, które się urodziło w wysokich komnatach i w kołysce słyszało nie jęk nianiek, lecz organy. Co ten człowiek już stracił, a ileż mu jeszcze pozostało! Szmat za szmatem wyrwał z siebie wiarę, ale zachował cały bezmiar uwielbienia dla tego, co czcić chciał; gardził prostytutką i dusił w sobie zmysły, a nie brakowało uniesień w jego miłości. Jestto człowiek czysty.

[Str. 27]

Radość Turskiego udzieliła mi się: słuchając go czułem się odmłodzony jakiś i rzeźwiejszy. Byłem zadowolony, że fałszywy nasz stosunek raz się wyjaśnił i to pomyślniej, niż przewidzieć mogłem. Wszystko było teraz wytłómaczone. Cieszyłem się również jego szczęściem: gdy mi o niem opowiadał, kilka razy kręciły mi się łzy w oczach.

Dla jego narzeczonej posłałem bukiet; kontent jestem, że mogłem jej zrobić przyjemność, gdyż ona przepada za kwiatami. Przykro mi tylko trochę, że byłem złym obserwatorem, ale czyż można było się tego po cichym Władku Turskim spodziewać. Jestem pewien, że każdego z jego dawnych kolegów trzymałby też w zakładzie moją stronę.

Dnia 29 grudnia.

Władek źle jednak robi, że swych zaręczyn publicznie nie ogłasza; przez to plotki tylko powstawać będą. Niby nie ma w tem tajemnicy; kto chce, może domyślać się i wiedzieć. Przed nami t. j. przedemną i Polińskim, Turski mówi wciąż o swej miłości; widać, że tylko ten przedmiot go zajmuje. Zdaje mi się, że w podobnym wypadku byłbym więcej skryty. Chociaż... nie wiem. To powtarzanie: Kocham, Kocham, Kocham... jest czysto odruchowe i niewłasnowolne, jak śpiew ptaka na wiosnę.

[Str. 28]

Pomimo, że zaręczyny nie są wszystkim oznajmione, w damskiej kolonii naszej panuje już straszne oburzenie. Mężczyzna tak jest rzadki i tak często sprzedaje się teraz »en détail«, że dostać całego odrazu jest świetnym interesem. Wystawić sobie można wściekłość koleżanek, że przyjechała obca intruzka, nawet na żadnym wykładzie się nie zjawiła i rogów wielkiej mądrości nie pokazała, a już męża trzyma. Nie ma nic pociesniejszego nad ich ironiczne miny, w których świetnie widać tę utajoną i niby nie istniejącą złość. Zwykle mię to śmieszy, lecz dzisiaj Łuzecka zirytowała mię do żywego. Jest głupota, która już graniczy z podłością. Zarzucała Zaleskiej wręcz, że przyjechała tylko, aby wydać się za męża—co wiem, że nie jest prawdą. Natarłem na nią ostro i ostrzegałem, żeby nigdy nie mówiła o małżeństwie i miłości, bo jestto dla niej teren na zawsze obcy, na którym wygląda, jak kaczką uczącą się latać. Moja opinia złośliwego gburą jest ustalona na długo.

[Str. 29]

Teraz jednak, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, widzę, że może nie miałem tyle racji, ilem sobie początkowo przypisywał. Mniejsza zresztą o rację, ale rola szlachetnego obrońcy bywa czasem śmieszna i kto wie, czym właśnie takiej roli tutaj nie odegrał. Gdyby Łuzecka była dowcipna, przysłałaby mi paczkę biletów wizytowych z takim np. napisem:

JEAN KARSKI

défenseur de l'amour outragé.

Tak; śmiesznie się wygląda, broniąc, czego się nie posiada.

Dnia 30 grudnia.

Dotąd nie chciałem przeszkadzać Turskiemu w jego sielance; widziałem zresztą, że sobie nie życzył, aby Zaleską kto z nim razem odwiedzał. Dziś jednak nie miałem nic do roboty po obiedzie, a upłynął już tydzień od oświadczyń, więc wypadało nawet narzeczonej powinszować. Kupiłem bukiet białych róż i narcyzów i poszedłem do niej; mieszka teraz przy ulicy des Feuillantines, na wprost klasztoru.

Widzę z ulicy, że jest światło w pokoju, ale przyćmione; paliło się tylko na kominku. Pukam do drzwi; otwierają mi. Naturalnie, Turski jest u niej. Witając się z nimi czuję, że mają dłonie

[Str. 30]

wilgotne i ciepłe. Daję Zaleskiej bukiet i nie wiem dlaczego, pomimo, że słowa płyną mi dość gładko, nie zdobywam się na żadne powinszowania lub życzenia. Cała uroczystość sprowadza się szczęśliwie do mocnego, znaczącego uściśnienia ręki.

Nie zdaje mi się, żebym im był zawadzał. Siedzieli dalej przy sobie na kanapie, trzymając się wpół i przytulając do siebie. Siadłem opodal na krześle; rozmawialiśmy trochę, chociaż najczęściej milczeliśmy—i to było najwymowniejsze.

Oni są w tem stadyum, że obecność osoby trzeciej nic a nic im nie przeszkadza. »Ten trzeci« nie istnieje dla nich. Całowali się przy mnie tak, jakgdyby byli we dwoje. Poliński, którego spotkałem wracając później, mówił mi, że to samo robili przy nim i przy Starzewiczu, chociaż go prawie wcale nie znają.

Zaleska jest jednak strasznie zakochana. Dość spojrzeć na jej oczy i ruchy; a nie przypuszczałem nigdy, żeby panna »z dobrej sfery«, napojona po uszy konwenansami, dała się publicznie tak całować i pieścić. Widocznie nie znam się na kobietach—ale Zaleska jest wyjątkowo uczuciowa, impulsywna, pierwotna.

Jest ona teraz tak naiwnie i niewinnie bezwstydna—co zresztą bardzo jej do twarzy—że gdy patrzę na nią mimowoli przypomina mi się nieśmiertelna Haida z Don-Juana. Widzę teraz nawet, że i dla niej i dla Turskiego przyjemnie jest, jeżeli mają świadków, którzy mogą patrzeć na nich i podziwiać ich miłość. [Str. 31]

Władek ma jednak ogromne szczęście. Narzeczeństwo wśród rodziny, w rodzinnem mieście jest obstawione tak obrzydliwie ohydny ceremoniałem zwyczajów, że wątpię, czy może się tam ostać choćby krzynka szczęścia. Tutaj, w olbrzymim obcym mieście, w zupełnej samotności, którą można stworzyć jednym obrotem klucza, narzeczeństwo staje się piękną uwerturą, której słuchając, można zapomnieć doprawdy, że czekają całe akty długiej opery. Bo kto wie, jakie śpiewacy mają głosy i ile dysonansów się wkradnie.

Za długo widocznie siedziałem w gniazdku przy ulicy Feuillantines, bo mi się teraz wciąż przed oczami kręci Zaleska w tych wszystkich rozmiłowanych pozach, w których ją widziałem. Ależ ona ogromnie w ostatnich czasach wyprzystojniała... Kobieta, która kocha, jest nietylko najmądrzejszą, ale i najpiękniejszą.

Dnia 31 grudnia.

Kochana Wandziu, piszę do Ciebie tylko kilka słów na karcie pocztowej, żeby Ci powinszować—choć może zbyt późno—Nowego Roku. Jestem ogromnie zajęty i dla tego niemam czasu na obszerniejsze listy. Nie miej mi tego za złe. Nie mam Ci zresztą nic do oznajmienia, bo u mnie nic nowego nie zaszło. Ale... Władek Turski zaręczył się z tą koleżanką Zaleską, o której Ci kiedyś pisałem. Stosunki nasze stały się serdeczniejsze obecnie i częściej się z nim widuję. [Str. 32]

Twoją kartkę, pisaną w pierwszy dzień świąt, otrzymałem. Czyś była jeszcze u kogo podczas świąt? Byłaś zapewne u pani Reuter. Podobno macie ciągle odwilże w Warszawie; czy nie szkodzi ci to na zdrowie?

Twój *Janek*.

Dnia 2 stycznia.

Od kilku dni absolutnie nic nie robię. Przerwałem studia w bibliotece, bo czeka mię mnóstwo przepisywania starych dokumentów, a to przejmuję mię niewysłowionym wstrętem. Natomiast chodzę po obiedzie z Turskim do kawiarni i przez kilka godzin słucham, czasami nawet z radością, jego spowiedzi i wynurzeń, które płyną teraz bez końca. On wprost spieszy się donieść i mówić mi o swem szczęściu. Jestem mu wdzięczny za tę przyjaźń i za tę ufność. Potem odprowadzam Turskiego do uniwersytetu na wykłady i idę zwykle nad brzeg Sekwany i chodzę tam dopóty, dopóki zmęczenie zupełne nie zmusi mię do powrotu. [Str. 33]

Nie znam nic piękniejszego nad Sekwanę od Katedry do Luwru, ale teraz prawie nie przyglądam się temu widokowi; pamiętam go doskonale w najdrobniejszych szczegółach, a powtórę głowa mię boli jakimś głuchym, rozsadzającym bólem, i chodzę nie po to, aby patrzeć, lecz aby ukołysać myśli.

Dawno już nie miałem takiego wrażenia próżni, bezsilności, bezużyteczności mojej i wszystkiego, co mię otacza—jak w tych dniach ostatnich. Wstaję, jem, chodzę, myślę, piszę jakąś rozprawę, lecz żeby mię zabito, nie wiem, po co to wszystko się robi. O tyle jestem inteligentny, iż rozumiem, że—jak się to mówi—ze mnie nic nie będzie, że przestanę kiedyś jeść, chodzić i myśleć, że rozprawy moje tak samo nie obchodzą nikogo, jak moja osoba, jednym słowem, że jestem absolutnie niczem, jedną wielomilionową częścią czegoś, co samo jest może także tylko milionową częścią.

A uczucie takie jest stokroć bardziej przykre, jeżeli na początku swego świadomego życia miało się marzenia i nadzieje, jeżeli wschód życia, jak wschód słońca rzucał długie, piękne cienie. Sądziłem, będąc dzieckiem, że wielkość cienia tego, to moja własna wielkość. Teraz jest południe: [Str. 34]

cień się zwinął, a ja się zgarbiłem.

Chociaż dzisiaj mi się wydaje, że gdyby mi coś nawet pozostało: jakaś idea, zdolność jaka—i to byłoby mi obojętnym. Ażeby złę rozdać na poemat, trzeba mieć dużo wody i bezwstydu.

Karg ist Natur, ein Schein die Kunst, dem Triebe
Der Sehnsucht schenkt Gewährung nur die Liebe.

To chyba prawda... bo Turski jest teraz tak żywy i dzielny, tak sobą tylko zajęty, że mimo swej czulej wrażliwości, zdaje się wcale nie spostrzegać męczącego mego stanu i świdruje mi uszy nieustannym hymnem miłości. Potrzeba mu słuchacza, aby mógł śpiewać; a któż lepiej do tego się nadaje, niż stary, zaufany przyjaciel. Moja teoria stosunków ludzkich sprawdza się raz jeszcze. Wieczny, wieczny wyzysk.

Dnia 4 stycznia.

Nie, nie idzie mi praca. Wszystkie usiłowania, aby zmusić się i przewyciężyć, spełzają nadaremnie. Robota nie posuwa się, i tylko ból głowy, gorący, szalony, wzmagą się i przenika wszędzie, szarpiąc i gniołąc—niby rozpaloną ręką. Zmarnowałem cały dzień na przechadzkę. Błądziłem po zaułkach, przedmieściach, po ustronnych kątach, byle być w miejscach jak najspokojniejszych i jaknajdalej od domu. I chodzić i nie myśleć o niczem... Wreszcie znalazłem się w Auteuil i ztamtąd wróciłem rzeką. Ta cudowna panorama od wiaduktu w Auteuil, koło Marsowego pola i Trocadera, koło Luwru, Katedry uspokoiła mię trochę swą kamienną pięknnością—tym łatwiej, że statek o tej porze dnia i roku był pusty.

[Str. 35]

Już koło domu w Quartier spotkałem Polińskiego, który szedł do mnie, aby mię zabrać na wielkie bulwary. Lubię z nim chodzić, bo jest tak gadatliwy, że prędzej wówczas przestaję myśleć, niż gdy jestem sam—zgodziłem się więc chętnie. Pojechaliśmy na bulwary, siedzieliśmy w kawiarni, słuchaliśmy ludowych piosnek gdzieś w Café-Concert—nie wiem już zresztą, cośmy robili. Mój ból głowy stał się podobny do przepaścistej nudy; a Poliński twierdził, że nie mam humoru i muszę być zaziębiony.

Wracając już po północy przechodziliśmy przez ulicę Feuillantines. Świeciło się w oknach, więc zaczęliśmy wydawać okrzyki, służące nam za hasło porozumienia w takich wypadkach. Poliński świetnie naśladuje ryk wołu i bek barani. Okno się otworzyło i ukazali się... oczywiście oboje. Turski powiedział nam, abyśmy chwilę poczekali, a zaraz zejście i pójście razem z nami do domu. Okno się zamknęło i na tle firanek ujrzelśmy scenę pożegnania, jak zawsze...

[Str. 36]

W Paryżu, w tem klasycznym mieście rozpasania, staję się strasznym świętoszkiem: widok ten mię gorszył i poważnie gniewał. Przypuszczalnie, za jaki tydzień zapiszę się do ligi Berengera.

Turski wyszedł. Był trochę zarumieniony, a na powiekach lśniły mu się drobne kropelki. Sześć razy kłaniał się oknu, w którym była już tylko bezkształtna sylwetka. Bałwochwalca!

Scenka ta zirytowała mię tak, że byłbym błogosławił wszystko, coby Turskiemu mogło sprawić jakąkolwiek przykrość; sam nie wyrządziłbym jej jednak nigdy. Chciałbym tylko móżdżek się litować nad nim i pocieszać, bo mimo chwilowej złości, jestem jego przyjacielem. Nie prędko jednak będzie potrzebował tej przyjaźni.

Dnia 5 stycznia.

Logika formalna jest stekiem błędów, a największym i najjaskrawszym *tertium non datur*. Duch nasz jest autokratą i niema sprzeczności, którejby zgodzić nie mógł.

Jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy radością Władka. Kilka razy na prawdę się rozrzewniłem słuchając jego wynurzeń. Przytem cieszę się jeszcze dla tego, że jednocześnie przekonywam się, iż jestem głęboko wrażliwy na cudze szczęście, a więc jestem uczciwym, szlachetnym człowiekiem. Mimo to, ani jednej chwili nie przestaję teraz czuć, że gdyby Turski utracił swe szczęście, byłbym... może kontent. To jest... zależnie od tego, jakby je stracił. Gdyby Zaleska umarła, płakałbym z Turskim; gdyby ją nagle potrafił zyskać kto inny, pomagałbym może zabić uwodziciela, lecz z tego co zaszło, byłbym prawie rad—nie jakąś radością określoną, zdecydowaną, jasną, ale tym niezwykłym nastrojem, wewnętrzną pogodą, która się tworzy w najskrytszych podwalinach duszy.

[Str. 37]

To, do czego się przed sobą przyznał, nazywa się zwykle nikczemnością, i z tego jestem dumny. Świadczy to, że uczucia moje są nieustraszone i potrafią jak bohater z baśni, wtargnąć na każdy szczyt—mimo larw, które zewsząd grożą.

Dziś zadałem sobie pytanie, którego uniknąć dłużej nie mogę w żaden sposób. Może ja Zaleską kocham? Jeżeli kobieta, której obecność jest dla mnie niepotrzebną, twarz—obojętną, pieszczota—zbyteczną, może być jednocześnie kobietą kochaną;—ha, w takim razie ja Zaleską kocham. Zdaje mi się, że cierpię nie przez to, że ona kocha innego, lecz przez to, że mnie teraz kochaćby już nie mogła.

Zabrano mi to, co do mnie należeć mogło. Utracić możność jestto więcej, niż utracić

[Str. 38]

rzeczywistość. Nie móżd istnieć jest gorzej, niż nie istnieć.

Dnia 6 stycznia.

Nie przypuszczałem nawet, że tak lubię dawać kobietom prezenty. W ostatnich dniach byłem kilka razy u Zaleskiej, i nie mogłem iść tam ani razu, żeby nie przynieść jej chociażby kilku kwiatów. Dziś wydałem na to ostatniego franka i jestem z tego ogromnie kontent. Mówię sobie, że tylko głupiec nie rozumie, co to za rozkosz rujnować się dla kobiety. U Zaleskiej przesiadywałem krótko. Chociaż obecność moja im nie zawadza, zdaje mi się, że wypada możliwie się usuwać. Zresztą widok ciągłych pieszczot i uścisków drażni: czuję prędko ogień w skroniach i pot na ciele. Nie ja sam tylko tak na to reaguję. Mówił mi Poliński, że odczuwa zupełnie to samo: jestto przecież całkiem naturalne. Dziwię się, jak oni mogą to wytrzymać.

Równie naturalne, jak ogień w skroniach, jest myśl, która mię poprostu opętała. Dlaczego ja tak nigdy nie kochałem? Dlaczego w mojem życiu nie zeszło się nigdy pytanie z odpowiedzią? Dlaczego odepchnięto mię, kiedym pożądał, dlaczego, kiedy pożądanio mię, odczuwałem tylko wstręt lub pogardę? Dlaczego dla mnie miłość była zawsze zimną, zacieklą, złą grą, której wygrana hańbi jak złodziejstwo?

[Str. 39]

Patrząc na Władka, czuję, że nie mógłbym kochać tak szczerze, otwarcie, tak prosto—i tego zazdrozczę mu najwięcej. Bo czyż nie jest to wyrafinowanem okrucieństwem pysznić się przedemną tem szczęściem, które ostatecznie dostało mu się trafem... Tak, przyjemniej i łatwiej wygrać majątek, niż się go dorabiać.

Ohydzie śmieszne w tem wszystkim jest to, gdy Władkowi się zdaje, że sprawia mi największą przyjemność, odsłaniając przedemną swą miłość. W tych pieszczotach, których ani on, ani ona się nie żenuje, jest tyleż bezmyślnej, żywiołowej swobody, ile chęci pokazania, jak szczęśliwym być można... Wygląda to, jak wyzwanie, jak pogrożka: »Będziemy jeszcze szczęśliwsi«. Będziecie; wierzę wam.

Postępowanie Turskiego jest nietylko okrutne, ale niemiłosiernie głupie, bo nie sądzę ani jednej chwili, aby naumyślnie chciał przykrość mi sprawić i dokuczyć. Doprawdy zgłupiał.

[Str. 40]

Dnia 7 stycznia.

Zwiedzaliśmy dziś Luwr. Poszedłem najpierw z Zaleską sam, a Turski dopiero później po wykładzie z nami w muzeum się spotkał. Luwr nie zajmował mię wcale; nie lubię tych olbrzymich zbiorów, gdzie wszystko zbite jest bezładnie w jakąś pstrą mieszzaninę, która przytłacza tylko i dławi. Nie doznaje się tam tego uczucia swobody, bezkresu marzenia, które przecież jest istotą rozkoszy, jaką dać może sztuka. Arcydzieła powinno by się chyba wystawiać w oddzielnych kaplicach.

Zdaje mi się, że napisałem kłamstwo. Prawdą jest, że nie lubię muzeów; ale mimo to, zwiedzałem je nieraz i sztuka, którą widziałem, porywała mię i czarowała. Dziś nie zajmował mię Luwr, bo była Zaleska i wszystkie myśli moje są jakby opętane. Sprawia mi teraz okrutną przyjemność wszystko, co może tę dziewczynę przedemną poniżyć. W ten sposób biorę jakąś idealną choćby zemstę nad Turskim: znieważam w myśli jego bóstwo. Naumyślnie nie pokazywałem Zaleskiej arcydzieł i śledziłem, czy je odczuje i odnajdzie. Ona nie ma wcale zmysłu artystycznego; zatrzymywała się przed najmarniejszymi obrazami i wygłaszała takie śmiesznie naiwne zdania, że tylko ta otwarta szczerokość była jedyną ozdobą tego, co mówiła. Wmawiam w siebie, że nie można się zakochać w kobiecie niewrażliwej na piękno: jestto gminność na cale życie.

[Str. 41]

Potem przyszedł Turski; nie patrzyli więc już na obrazy, tylko na siebie. I wtedy byli szczęśliwi.

Nie, ja stanowczo do szczęścia nie jestem zdatny. Szczęście to jest taka wyłączność, takie zaprzepaszczenie, że na to nie zdobyłbym się nigdy. Nie wiem, czy za dużo mam zmysłów, czy za wiele w duszy pożądań, ale jabym skorzystał z każdej szczeliny, aby się ze złotej klatki szczęścia choć na ból i cierpienie wydostać. Tam gdzie inni oddychają, ja zaraz się duszę. Było tak już przecież.

Mogę się więc, tak jak teraz, pocieszać cudzem szczęściem. Tylko, że ta pociecha jest tak gorzka, iż jak dobry absynt, staje się nawet przyjemną. Tylko, tak jak absynt, pobudza łaknienie.

Łaknienie za czem? Za miłością? Za miłością Zaleskiej? Nie kochałem i nie Kocham nic w tej chwili. Za szczęściem? Nie potrafię go odczuć i zrozumieć. Za bogactwem? Nie wiem, na co bym go użyć miał. Łaknę życia; czem jest i gdzie jest—niewiem. Podobne łaknienie ucuwać musi chyba pisklę, gdy wychyla dziób, aby uderzyć i rozbić skorupę, która dzieli je od światła. Ale pisklę wiedzie instynkt, a mnie nie wiedzie nic. Chciałbym wysunąć żądze, jak szpony, i chwycić i zdruzgotać zaporę, co mi światło kradnie. Lecz nie wiem, gdzie iść, gdzie jest skorupa mej duszy.

[Str. 42]

Dnia 8 stycznia.

Po wczorajszej wycieczce do Luwru Zaleska była trochę słaba i Władek mię prosił, abym ją odwiózł do Korzyckiego. Korzycki przyjmuje chorych o trzeciej, a o tej porze Turski ma zawsze zajęcie w uniwersytecie. Początkowo wymawiałem się wykładami; zdaje mi się, że chciałem Władkowi zrobić na złość. Potem jednak ustąpiłem i pojechałem z Zaleską do Korzyckiego, na drugi kraniec Paryża.

Ta dziewczyna, gdy Władka przy niej nie ma, wydaje mi się zupełnie inną. Rozmawialiśmy cały czas spokojnie, po cichu, ufnie, jak rozmawiają starzy i dobrzy znajomi. Mimo całej zyczliwości dla niej miałem chwilami dokładne wrażenie, że ta kobieta jest mi chyba obojętną, że nie pociąga mię do nie; nic nad to, czem każda kobieta pociągnąć może. Gdy nie mówiła o Turskim, co niestety zbyt rzadko się zdarzało, mogłem czasami zapomnieć o stosunku, jaki ją z nim łączy: tego mi tylko trzeba.

Coraz więcej mi się zdaje, że w tej dziewczynie ponętną jest tylko jej miłość. To uczucie działa na nią, jak ów pierścień z bajki, który posiadaczowi zapewniał wszystkie piękności i skarby. Gdy się przymiła do Władka, rzeczywiście jest prawie piękna i ma taki wyraz w oczach, że wtedy oddałbym wszystko za to, aby przestała go kochać. Chyba trudno mniej żądać w życiu. Nie żądam miłości, lecz tylko spokoju, bezczucia, jak dawniej. Dopóki widzę, że ona jest zakochana, coś mię nurtuje, łamie, dręczy, odbiera swobodę myśli. Ja nie chcę o tem myśleć. Byłem tylko zasnął! [Str. 43]

Dnia 9 stycznia.

Jest okropnem błagać kobietę o miłość, wić się u jej stóp, wołając: Kocham, Kocham;—i nie słyszeć nic, oprócz echa własnych słów, odbitych o próżnię, i odejść z myślą, że jest gdzieś marny, podły człowiek, dla którego kobieta ta tęskni i gardzi wszystkim: miłością, bólem, rozpaczą—

Ale gorzej jest, jeżeli w takiej chwili nie można zawołać nic więcej nad to: nie Kochaj go. Są teraz chwile, gdy zazdrozczę Władkowi tak, że chociaż nie umarłem, zazdrozczę mu życia, jakgdybym wiedział, że on mnie przeżyje. Zresztą, takie istnienie jak moje, z wiecznem pożądaniem czegoś nieuchwytnego, niewymarzonego nawet, z ciągłym niepokojem w duszy, na łasce każdego wrażenia, to nie jest życie, to sen gorączkowy i tak męczący, że często niewiadomo, czy nie lepiej raz się już obudzić. Mam takie dziwne zmysły, że potrafię odczuwać tylko gorycz, a to w końcu mdli i truć zaczyna. Jak zniszczony lubieżnik przez chłostę, przepędziłem się przez wszystko, co zawiść dać może—i nie doznałem nawet miłości, która temu dobremu, szczęśliwemu przyjacielowi dostała się tak łatwo. Nie Kocham Zaleskiej i wiem, że w chwili, gdy ona przestanie Kochać Władka, będzie mi tak obcą, jak kobieta, którą pierwszy raz widzę na ulicy. Jest to straszne, bo pozbawia mię wszelkiej nadziei. Nie mam się o co starać, bo jeślibym co osiągnął, zyskam mniej jeszcze, niż mam teraz. [Str. 44]

Kłamstwo, ohydne kłamstwo... Nie Kocham Zaleskiej?... Za cóż bym więc tak cierpiał?

Mam chwilami złudzenie, jakgdyby wszystko, co mię otacza: domy, drzewa, ludzie, chwiała się nagle i groziło zawaleniem. Lękam się trochę sam chodzić i tego mi wstyd przed sobą. Zawsze gardziłem nerwowymi ludźmi.

Dnia 10 stycznia. [Str. 45]

Godzina siódma rano. Brzask szary wstał i sączy się przez okno. Siedzę na krześle zbłocony, znużony, złamany, a sen nie przychodzi do mnie. Ledwie pomnę, co się ze mną działo tej nocy, bo to już nie ma nazwy. Szaleństwo? Trwoga?... Gorzej. Jakaś odwieczna modlitwa jaskiniowców świdruje mi mózg: Grozo, Potęgo—jakakolwiek jesteś—bądź litościwa duszy mojej! Ale nie, nie, nie... jestem znów silny, zdrow i twardy.

Wczoraj wieczór cały spędziłem w kawiarni. Do Zaleskiej nie chciałem, nie mogłem iść; Polińskiego nie było w domu; innych ludzi szukać niepodobna było. Wszystko mi było zresztą jedno, gdzie się znajdować, byle nie być w domu, nie widzieć tych cieni, które jak złe psy kryją się po kątach i chodzą od stołu do krzeseł, od krzeseł do łóżka, byle nie kłaść się i nie rozbierać w tem gęstem powietrzu, gdzie jakieś niewidzialne dotknięcia palą mi skórę, byle nie czuć tej ciemności, która jak na żer nalatuje na mnie i kładzie mi się na piersiach. Nie mogłem iść do domu; niewysłowny lęk, obawa samotności, obawa spokoju i martwoty gryzła mię nieustannym, prawie fizycznym bólem.

Ale o pierwszej zamknięto kawiarnię i musiałem wyjść. Poszedłem wprost przed siebie i zacząłem błądzić. Bez celu, pierwszą lepszą ulicą, która się nawinęła, przez bulwary, przez place, przez zaułki. A za mną błądziły jakieś wizje potworne i zarzucały mi czarne swe ręce na oczy; wtedy gasło mi światło, zdawało się, jakby świat cały zapadał się w ciemność, a słońce nigdy już więcej powstać nie miało. Stawałem wtedy przed latarnią i wlepiwszy oczy w żółte jej światło stałem bez ruchu, drżąc we wnętrzu i słuchem rozognionym przysłuchując się ciszy. Kto wie co tam siedzi w tem czarnem jądrze, które nieprzejrzyście rozciąga się aż po same szkła latarni? Tam może czyhać człowiek z nożem, czyhać na mnie i uderzyć mię w szyję, tam może być tak gęsto, że padnę odrazu bez tchu... Lub może tam być gwarno od jakiegoś nieznanego życia nocy, może tam być tak ludno, że zatrzymają mię i przepadną bez śladu, jakgdybym w otchłań wleciał. [Str. 46]

I nagle zrywał się nademną strach ohydny, niewypowiedziany i jak wichur zmiatał mię od latarni i

w ciemność na zgubę własną odrzucał. Biegłem nieprzytomny przez ulice, potykając się o kostki, rozrzucone do brukowania, uciekałem na place widniejsze od ulic i kryłem się jak zbrodniarz, gdym zdała straż policyjną zobaczył. Rozszalały tabun nędz tratował mi duszę i szarpał mózgi, jak padlinę. Rozplatały się wszystkie węzły duszy i było mi, jakbym cały zapadał się w siebie. Pot, jak w łaźni występował mi na czoło, spływał na szyję i oblepiał na mnie bieliznę; gorąca para żarła mi oczy; zdało mi się, że w powietrzu jest jakiś nieznany kwas; gryzący i trujący, jak żaden inny, który wgryza mi się w ciało i rozkładania tkanki. Koło mnie rozsuwały się tylko i zbiegały gmachy martwe, bo wszystko, co nie jest kamieniem, zostało spopielone, rozsypane, wyżarte. Zamknąłem usta, bo piersi mi płoną. I biegłem, biegłem co raz szybciej ze schylonym karkiem, jak ścigane i oszalałe zwierzę...

[Str. 47]

Wybiegłem do Hal. Przedemną w prostych, pewnych, olbrzymich liniach piętrzyły się żelazne sklepienia. Wielkie lampy błyszcząły niebieskawym światłem, a ku górze pod dachem szklanym, jasność ich jednoczyła się w jakiś drżący blask, który sypał się na plac cały. Tłok na dole. Kręcą się tłumy ludzi, wozy podjeżdżają i bez przerwy sypią się z nich wory, kosze, paki. Mimo to nie było wrzawy. Ludzie pracują cicho, niegłośnie, jak widma. Tylko czasem zaskrzypi koło łub stuknie o kamień żelazto. I znowu cisza.

Jasność przykuła mię do siebie. Siadłem na ławce; pot stygnął na mnie, chłodził i orzeźwiał. Bezmyślnie patrzyłem w głąb tego pałacu, na wir ludzi, kołujący przy mnie, na stosy jarzyn, które co raz wyżej i gęściej zasypywały chodnik, na żelazne belki, z których zwieszały się jakieś chorągwie czy płachty, na strop z błękitnymi gwiazdami—i znów spełzałem oczami z tych wyżyn po belkach na bruk. I znów patrzyłem, jak schylają się karki parobków, ręce wyrzucają zielone kule kapusty, jak wozy przesuwają się zwolna—i łowiłem w tej ciszy jakieś szmery, brzęki, czasem zwrotkę dalekiej piosnki lub przekleństwo. Patrzyłem, słuchałem i żar odchodził odemnie. Spokój. I chciałem tu zostać, zdała od widm, które za mną biegly—i czekać ranka.

[Str. 48]

—*Viens, chéri.*

Powiedziano coś blisko mnie:

—*Viens donc, chéri.*

Przy mnie na pustej dotąd ławce siedziała teraz pogięta postać, w czarnych łachmanach, niewyraźna; tylko twarz sprośna, nabrękała, czerwona z otwartymi śmiejącymi się ustami, patrzyła na mnie z blizką, coraz bliżej. I ja patrzyłem na tego potwora, który nagle przy mnie się wylągl i widziałem, jak sinieją mu wargi i jak trupio wyglądają duże ostre zęby z tych żalobnych obwódok. Brzydę się... a oczu oderwać nie mogę, i boję się... a jednak patrzę.

—*Qu'as tu donc peur, mon petit loup?*

Tak, rzeczywiście lękam się; czuję, że roztwierają mi się i nieruchomieją źrenice. Rękami chwytam się ławki, mdło mi się robi w duszy i tak smutno i fala jakaś wzbiera mi w piersi, dławi w gardle i ścisza. Suchemi oczami patrzę, patrzę ciągle. Jaka ona podobna, coraz podobniejsza, coraz młodsza, tamta...

[Str. 49]

Nagle rozległo się gdzieś nademną przekleństwo furmana; huk zbudził się we mnie, jakby Halle się ocknęły i z krzykiem rzucały ku mnie. I przypomniałem sobie gdzie jestem, zerwałem się z miejsca i pobiegłem przed siebie, wprost w Halle, byle dale; od tej... i od tamtej.

—*Va, sale bête.*

Dogonił mię tylko ohydny śmiech i złorzeczenie.

.....

I znów zacząłem iść, iść bez przerwy. Wyobraźnia moja, jak motyl bez skrzydeł, legła ranna śmiertelnie i nie zrywała się więcej. Szał odszedł mię, a zmysły postrzegały wszystko z jasnością przerażającą. Ale nad wszystkimi wrażeniami górowała nieprzeparta, w całej krwi rozlana myśl: iść, iść. Ta myśl wszechmocna dała mi jakąś potęgę ciała, niezniszczalność mięśni. Szedłem krokiem sprężystym, jędrnym, jak wyćwiczony żołnierz. Jak długo szedłem, nie wiem. Nie myślałem o niczym, nie czułem nic. Tylko chwilami zdawało mi się, że po drugiej stronie ulicy w mroku prześlizguje się cicho taka sama postać błędna, idąca bez celu, potępiona. I byłem jej wdzięczny, że idzie ze mną i nie trwożyła mię wcale, jakgdybym ją znał od wieków. Chciałem się zbliżyć do niej i przeszedłem przez ulicę: przyspieszyła kroku. Począłem iść prędzej: pobiegła. Zacząłem biedz—i znów rozpoczął się pościg, aż w mroku gęstszym widmo odwróciło się, spojrzało mi w twarz i znikło. Lecz na karku jego widziałem swoją twarz, swoje oczy, nienawiści pełne i pogardy. I zrozumiałem, że to dusza moja uciekła odemnie. Trwoga nieludzka mię ogarnęła znowu, która ścina krew w żyłach i ciału kamieniem każe; zdało mi się, że zem słońca już i lada wiatr, co kłosa rosnącego w ziemi nie zakołysze nawet, trąci mnie lekko, zdmuchnie i rozkruszy.

[Str. 50]

Nagle z załomu ulicy jakiejś wyleciał wiatr—i zdało mi się, jakgdyby ktoś ostrze chłodne przesunął mi wzdłuż—między duszą a ciałem. Zmąciło mi się wszystko; przypadłem do muru. A kiedy omdlenie przeszło i poczułem, że żyję—zerwałem się i zacząłem biedz, byle uciec z tej nocy bezkresnej, zabójczej.

.....

...Przybiegłem nad rzekę. Ognie latarni nadbrzeżnych paliły się w falach i rzucały wiatrem

tańczyły koło brzegów jakieś szalone zaloty. Środek rzeki był czarny, głęboki, tak że odbite blaski gwiazd zginęły gdzieś w tej otchłani. Przechyliwszy się przez poręcz, opuściwszy głowę, z której wiatr strącił mi kapelusz, trzymałem się prętów baryery i nie mogłem spuścić oczu z rzeki. Kocham i boję się tej głębi. I dla tego że wiem, że kiedyś muszę się w nią rzucić, że wiem, że woda ta jest zimna, dławiąca, duszna—trzymałem się rękami mostu i patrzyłem z zachwytem i dreszczem. Śmierć w wodzie... tak, ona czeka mię na pewne. Gorączce mojej raz warto dać ochłody. Uderzy mię zimno ze wszech stron, wstrząśnie mną nagle aż do głębi myśli, a potem zacnie się coś szarpać wewnątrz mnie i wyrwać i szamotać strasznie, aż mimowoli otworzę usta, i napiję się wody—i wtedy wszystko zgaśnie. Dobroć jakaś, łagodność, jasność mię otoczy i w oczach będą mi latały obrazy, szybkie, piękne. I będę chwilę znów żył tem dzieciństwem, co tak prędko przeszło, i zobaczę śliczne słońce, które ścigałem dawniej po tapetach mieszkania i pudła swego zobaczę. A kiedy teatr ten się skończy i zasłona zapadnie, nie będę już czuł ani zmory, ani zimna, ani opuchlizny, od której nabrzmiewać będę. Dobrze...

[Str. 51]

Nie, nie, nie... Wiedziałem przecież, że to nie dziś jeszcze, a jednak na sam widok tej wody podemną drętwiałem i kurczyły mi się palce koło prętów. I wtedy, gdy będę skakał z tego mostu—bo na pewno zeń skoczę—w głębię, w spokój, kląć będę jeszcze i rzekę i siebie i wyciągnę ręce, aby ją odepchnąć. I wpadłszy, wyć będę jeszcze wszystkimi głosami duszy o ratunek, i przed wodą zadławi mię strach. A jednak nie mogłem ztamtąd odejść, i wtedy... znów tam przyjdę.

[Str. 52]

—Co pan tu robi?

Przedemną stał robotnik, z oskardem i łopata na ramieniu. Spoglądał na mnie bystro.

—Przyglądam się rzece.

—Tak... a gdzie pański kapelusz?

—Wpadł do wody.

—A gdzie pan mieszka?

—Na rue des Ecoles.—Nudziły mię te pytania i ciekawe spojrzenia, lecz doprawdy nie miałem jakoś siły się gniewać. Odwróciłem się od rzeki i zacząłem sam pytać:

—A pan dokąd idzie?

—Do roboty.

—To pewnie już będzie szósta?

—Jest szósta.

Wreszcie! Tak, musiała być już szósta, bo spostrzegłem dopiero, że zółknie zlekka wschodnia strona nieba. Rozmowa się urwała.

—Przechodzę przez Boul. Mich'. Panu zdaje się nie dobrze—niech Pan idzie ze mną.

—Nie, ja wolno chodzę; lubię sam chodzić.

Stał parę chwil bez ruchu i nie decydował się, co ma zrobić. Patrzył mi badawczo w twarz—miał ogromnie sprytnie oczy. Dodałem więc:

—Może pan iść śmiało. Daję panu słowo, *to* jeszcze nie tej nocy.

[Str. 53]

Popatrzył chwilę jeszcze. Odszedł. A ja stałem jeszcze długo, dygocąc z zimna rannego.

Świtało. Niebo przystrajało się do dnia, powoli nasiąkało światłem, błękitniało, aż powlekło się złotem i czerwienią. Z przepychu tego ulicom dostawała się tylko grzązka, mglista szarość, w której bez blasku płonęły żółte latarnie. I ponuro ciągnęły się jednostajne kamienice, straszne i bardziej martwe niż w nocy, kiedym wieszal na nich swoje widma. Ale widziałem już dość, a nim doszedłem do końca ulicy, rozświetliło się wszystko. I mogłem wracać; wróciłem. I oto siedzę w swym pokoju w szarym brzasku, co jak błoto wciska się zewsząd.

Gdybym wszystkie noce trawił na rozpustę, nie byłbym tak zmęczony, bezsilny. Prostu z blaskiem dnia odeszła odemnie cała moc, i znużenie rzuciło się na mnie, jak na łatwą zdobycz. Mimo chłodu, oblewa mię pot. Stopy mam poodbijane, ranne i w karku jakieś osłabienie, schylenie, żar, jakąś chęć rzucenia się na wznak, aby leżeć bez ruchu, bez dreszczu na czemś twardem, jędrnym, zimnem. Wszystko omdlewa we mnie jakby na śmierć i znicestwia się.

Lecz zanim spadnie sen, długo jeszcze nad oczami memi trzepotać się będzie, jakby szelestem skrzydeł uciszyć wpierv musiał myśli—i te, które szydzą i te, które płaczą, i te które przeklinają. I zanim zasną, słuchać będę tych myśli: i tej szydzącej, która szepnie mi, żem podły, bo od zbawienia uciekłem—i tej płaczącej, która przypomni, żem nędzny—i tej przeklinającej, która spyta: czemu, czemu?—i odpowie, że cudzych losów zagadkowy skręt, to jest m o j a nędza.

[Str. 54]

A! Spijmy...

Dnia 12 stycznia.

Uspokoilem się znacznie. Onegdaj przeleżałem prawie dzień cały, zapuściwszy story. Wczoraj

byłem »normalny«. Miałem nawet gości. Jestem bowiem dobrym przyjacielem. Odkąd te zaręczyny stały się głośne w naszej kolonii, postanowiłem wyprawić dla narzeczonych mały wieczorek. Wczoraj to skutecznym. Miałem wiele zachodów, bo ona jest jeszcze chora i musi wystrzegać się w jedzeniu. Pół dnia przesiedziałem w kuchni swojej gospodyni, przeszkadzając jej uwagami i ostrzeżeniami. Ostatecznie zebranie udało się dobrze i wszyscy, kto miał przybyć, przyszli, bo dla Turskiego wszędzie są jaknajzyczliwsi. Był Poliński, doktor Korzycki, Starzewicz, koleżanka Łuzecka z Woydówną, Kloss z żoną...

Przy wejściu dałem Zaleskiej bukiet z samych prawie żółtych róż, ale ona ma takie zamyślenie w oczach, że nie widziała koloru i nie zrozumiała symbolu. Dzisiaj jestem z tego kontent, bo byłaby zadziwiona i zirytowana;—choć właściwie wszystko mi jedno, bo tu niema przecież mowy o »nadziei«. Wznoszono toasty. Rozeszliśmy się dobrze po północy.

[Str. 55]

Za to wszystko zostałem wynagrodzony. Na pożegnanie, przekomarzając się niby z Władkiem, podała mnie, tylko mnie, rękę do pocałowania. Ma niezmiernie delikatną dłoń. Samo dotknięcie tej skóry jest pocałunkiem. Pałą mię trochę usta i czoło, bo zdaje mi się, że jestem już nędzarzem, któremu rzucono ogryzki z pańskiego stołu.

Z całego jej zachowania, dawniej i teraz—widzę, że ona ma dla mnie ogromną przyjaźń. Wiem dobrze, że nie zawdzięczam tego sobie, lecz Władkowi. Władek ma o mnie bardzo wysokie wyobrażenie; wierzy w mój talent i zdolności, ceni mój charakter i kocha mię rzeczywiście. Odmalował mię w takich barwach, że i jej udzieliła się jego przyjaźń.

To jednak śmiesznie przykre zawdzięczać odrobinę, którą się ma, temu, co wydarł nam wszystko. Jestem na łaskawym chlebie z odpadków jego uczuć.

Dnia 13 stycznia.

[Str. 56]

Nie dostałem nigdy w twarz—lecz zdaje mi się, że pręgi policzka pieką mniej od drogi, którą ściekły mi te łzy. Kilka razy podchodzę do lustra, aby spojrzeć, czy twarz jeszcze gładka, czy nie tryśnie z niej smugami krew. Wstyd płomienny położył mi na lica rozognione palce, i ciśnie i pali.

Wczoraj zachęcony moim przykładem Poliński urządził również mały wieczorek. Ma on tu mniej znajomych, więc byliśmy tylko *en famille*, we czworo. Przy kolacyi Poliński i ja staraliśmy się zabawić tych gości, lecz było to niemożliwe: oni najlepiej bawią się sami—pocałunkami.

Dopiero wczoraj zrozumiałem z całą dokładnością, że niczem, niczem nie zwrócę jej uwagi. Wprost nie tylko nie mógłbym wyrwać jej miłości, ale teraz nie mogę jej zmusić nawet do tego, aby choć na chwilę zapomniała, że jest zakochaną. W niej zabita jest do szczętu wszelka ciekawość, ma raz na zawsze spuszczone powieki. Choćbym głowę roztrzaskał przed nią, nie zobaczy tego nawet.

Gdy sprzątnięto ze stołu, Poliński u nóg jej położył dużą skórzaną poduszkę; Władek, niby żartując, ukląkł zaraz na niej, a myśmy się dyskretnie usunęli w drugi koniec pokoju i paliliśmy papierosy, słuchając w półcieniu ściszone odgłosy pieszczotliwej ich rozmowy. Widziałem, że Władek położył głowę na jej kolanach i rękami ujawszy ją za szyję, przysunął jej usta do swoich. Była to śliczna grupa... z lichej gliny, bo przecież on jest brzydki.

[Str. 57]

A myśmy tymczasem z Polińskim rozmawiali po niemiecku—oni nie rozumieją tego języka—i instynktownieśmy czuli, że trzeba mówić rzeczy bezwstydnę, sprośne, aby znieść spokojnie ten widok. Przynajmniej odrzucał trafilśmy na ten wyudzany ton i przy tych zakochanych wspominaliśmy dumnie najbezpieczniejsze nasze wyprawy i doświadczenia. Śmiałyśmy się kilka razy do rozpuku... z naszych wspomnień, z ich miłości. Mimo to, obaj czuliśmy dreszcz w ciele i pot na skroniach. Mnie przebiegały parę razy przed oczami czarne plamy; po kawie to przeszło.

Gdyśmy już wychodzić mieli, spotkała mię wielka przyjemność. Dokuczyłem trochę Władkowi. Ona przed lustrem przymierzała kapelusz. Poliński świecił jej lampą, ja stałem z drugiej strony, trzymając zarzutkę. Władek, który się wcześniej był ubrał, chciał się do niej zbliżyć. Pod pozorem, że będzie pieszczotami przeszkadzał, a czas już iść, nie dopuszczałem go do niej—pierwszy raz mogłem go nie dopuścić. Pchnął mię kilka razy, naturalnie żartem. Nie drgnąłem z miejsca. Po tej utarczce byłem bardzo błady: to z zadowolenia, że był silniejszy—i z odwagi. Ścisnąłem bokser w rękę.

[Str. 58]

Wyszliśmy we troje od Polińskiego i najpierw odprowadziliśmy Zaleską. Towarzyszyliśmy jej aż na schody, aby świecić zapałkami. Z Turskim pożegnała się już w drzwiach pokoju: w ciemności zapałki zgasty. Potem odprowadziłem Turskiego, który miał zdaje mi się ogromną ochotę mówić i wywnętrzać się—ale ja byłem milczący i zły, więc rozmowa się rwała. Mówiliśmy trochę o głupstwach, o Polińskim. Potem zostałem sam i poszedłem do domu przez Boul.-Mich. Tu jeszcze było gwarno. Studenci siedzieli po kawiarniach na ulicy; dziewczęta szeleszcząc tanimi jedwabiami uwijały się z kwiatami w rękach, goniły się po kilka razem lub zaczęły znajomych *amis*. Widok ten oblał mię jakby żarem. Odgłos pieszczot przez wieczór cały rozkołysał mi zmysły, bolesny zawrót ogarnął je, obudziła się żądza. Ani cienia rozkoszy nie było w tem pożądaniu: nic, tylko nieprzeparta, maniacka chęć, aby ścisnąć, chwycić jakieś ciało, ślizgać się po niem ustami, stopić się z niem, i giąć i ginąć w nierozplecionych skrętach. Oczy zaczęły mi płonąć i piec powieki: żar mię owionął duszny, jaki czasem przed burzą spada z pochmurnego już nieba. Widocznie, że nie mogłem ukryć, co się ze mną dzieje, bo kilkanaście dziewcząt zaczęło mię

[Str. 59]

odrazu. Wszedłem do Café d'Harcourt. Tam gwar był jeszcze większy. W kącie przy stoliku siedziała z jedną z »koleżanek« i jakimś studentem, Gabryela. Zbliżyłem się do stolika. Gabryela, widocznie nie mając zamówienia, zerwała się, rzuciła mi się na szyję, zaczęła mię zasypywać pocałunkami i wymówkami, żem tak dawno u niej nie był; siadła mi wreszcie na kolanach i zaproponowała, żebyśmy wypili butelkę Chablis z ostrygami. Powiedziałem jej do ucha, że nie mam czasu ani ochoty, i że muszę i chcę wyjść natychmiast i żeby szła ze mną, jeśli jest wolna. —*Pour toi, chéri!* Zgodziła się wyjść odrazu. Wyszliśmy; para przy stoliku zaśmiała się za nami w głos: *Vous êtes bien pressés, vous autres!*

Po chwili byłem u Gabryeli. Mieszka zawsze bardzo blisko: na rue Tournon. W obu pokojach u niej był straszny nieład i zaduch. Zdejmując zarzutkę i stanik opowiadała mi, że wczoraj wróciła bardzo późno z Bullier i musiała przyjąć na noc jedną koleżankę. —*Une amie c'est pire, qu'un ami, tu sais?* Wstały bardzo późno i nie było już komu sprzątać.

Gabryela postawiła świecę na stoliku nocnym i zaczęła porządkować i układać pierzyny i poduszki rozrzucone po łóżku. Siadłem w sypialni na fotelu i patrzyłem bezmyślnie. Na toalecie leżał rozsypany puder fiołkowy i woń koło siebie roztaczała... Ta woń sprawiła mi ból prawie i zdławiła odrazu pół żądy. Fiołki... ulubione perfumy Zaleskiej.

[Str. 60]

Tymczasem Gabryela ułożyła łóżko, zakrzętnęła się jeszcze po pokoju, wypija zapomniany gdzieś na stole kieliszek likieru i pocałowałwszy mię głośno w usta, zaczęła się rozbierać, ziewając:

—*On est rentré tard, je t'avais dit.*

Nie ruszyłem się z miejsca.

Gabryela rozebrana wskoczyła na posłanie i wyciągnęła się jak długa. Koszula odpięła się jej na ramieniu i prawa pierś wychyliła się okrągłe. Bodaj zrobiła to naumyślnie, bo ma i pierś i ramię prześliczne. Biodra smukłe rysowały się przez batystową koszulę wyraźnie. Twarz jej zasłaniał cieniem róg poduszki.

Patrzyłem jeszcze chwilę na nią, i żądza znowu ogniem mię przebiegła. Zerwałem się ubrany jeszcze, aby całować, ująć, pochwycić to ciało, które ku mnie wynurzyło się z bieli. Wpijałem usta do jej ust i piersi... gdy ostatnia zabłąkana smuga fiołkowej woni owinęła mi duszę i dusić poczęła mi oddech:

Zamiast Zaleskiej biorę prostytutkę...

Żądza zgasła—jak zdmuchnięta świeca. Łzy schwyciły mię za gardło, wybuchnąłem płaczem, rykiem ohydny, niepowstrzymanym.

[Str. 61]

—*Mais qu'as tu donc? T'es fou.*

Tak!... Uciekłem, zbiegłem ze schodów, jak szalony—jestem w domu, zamknąłem się na klucz. Łzy już wyschły—ale palą. Wycisną mi chyba na licach pod oczami piętno na wieczność całą. Wszystka duma moja stopiła się w tych łzach. Ktoby chciał, mógłby plunąć mi w twarz, bo tak płacze tylko niemoc, nędza, miłość, która nawet przed uliczną nie wstydzi się hańby, że jest pogardzona.

Więc ją kocham? Kocham Zaleską?—Zapewne.

Dnia 15 stycznia.

Od kilku dni kręci mi się przed oczami jedna myśl, decyzja prawie, zagadnienie. Czy ja mógłbym Zaleską uwieść? Jest-że to możliwe, czy też nie? Względ na Władka nie gra tu żadnej roli; nie uznaję innego obowiązku, oprócz swej chęci, i on może tu być najwyżej przeszkodą lub tryumfem. Idzie tylko o to, czy rzecz jest możliwa.

Badałem szanse. Ona jest zakochaną, prawie bez pamięci—to jest źle; są dopiero zaręczeni i mają tak zostać długo—to jest dobrze. Jestto bowiem ciągle podrażnienie nie zaspokojone, ciągły śpiew na wysoką nutę, który nuży gardło. Może nadejść taka przelotna chwila, gdy ona poczuje, że śpiewak jest zmęczony i trzeba go zluzować: to może być podwaliną zwycięstwa.

[Str. 62]

Jestem raczej brzydki, niż piękny, ale nie mam w sobie nic odrażającego i siły mi nie brak. Jestem wymowny i mam pewną aureolę talentu, która może mi pomóc. Zobaczę, czy muza moja zdatna na stręczycielkę. Jestem wytrwały... Zdaje mi się, żem sobie nie podchlebił.

Właściwie rozumowanie jest tu niepotrzebne. Nie ma rzeczy niemożliwych, są tylko bardzo trudne. Im większa stawka, tym większa wygrana. Zacznę. Jeśli przegram, nie stracę nic, bo nic nie mam. Jeżeli wygram... Tak cicho, abym sam siebie nie słyszał, szepcę czasem słowa, które wtedy na usta mi wystrzelą. Może jakaś nowa moc, wielkość zrodzi się we mnie, krwią i ciałem nasyci me widmo, i stworzy, i przywoła do życia. Może ona jest *ż y c i e m*—i dla tego bez niej zewsząd jest tylko trwoga, rozpacz i śmierć. Więc trzeba działać, bo lepszy jest zły czyn od najpiękniejszego marzenia.

Zastanawiałem się już nad sposobami wykonania planu. Roztrząsam to na zimno, jak równanie. Droga gwałtowna, zakłęcia, listy jest wykluczona. Ona jest na to za łagodna, za dobra i trochę... za głupia. Zresztą... Władek. Działać można tylko powoli, zwolna, krok za krokiem, jak fala, która pieści i podmywa brzegi, zanim je zatopi. Należy im nie odmówić tej przyjemności, którą tak lubią, i żyć z nimi, jak najbliżej. Trzeba wejść do tej rodziny... we troje, aby później zostać można

[Str. 63]

bez trzeciego.

Ta droga jest przykra i grozi mi paleniem skroni przez czas długi, lecz jest jedyna, a zatem dobra. Będzie to... ćwiczenie z algebry psychologicznej.

Dnia 16 stycznia.

Wczoraj byłem z nimi w teatrze. Kupiłem bilety; dla Zaleskiej przyniosłem mój zwykły bukiet. Działalem w myśl swego planu, choć coraz więcej widzę, że *contra spem spero*. I on, i ona są jakby opętani; wszystko, co się koło nich dzieje, dochodzi ich, jakby stłumione i dalekie. Szedłem przy niej, ale wszelka rozmowa, zarówno we dwoje, jak i we troje rwała się bez przerwy, jak między obcymi. Były chwile w tej drodze, że mi ręce drżały, jakgdybym chciał schwycić—wroga lub siebie—za gardło i zadusić. W teatrze oni mieli oczy spuszczone i trzymali się za ręce pod parapetem. Ja... ja słuchałem opery i na moją duszę, nie przeszkadzałem im wcale. Wracając mówiliśmy trochę więcej... o muzyce, o poezji, o sztuce. Władek, który nieco ochłonął i bardzo lubi moje wiersze, prosił mię, abym im coś powiedział. Naturalnie zgodziłem się chętnie i powiedziałem ten smutny, napisany na Wiliją.

[Str. 64]

Na niebie mojem chmury...

Wiersz się jej podobał, tylko się dziwiła, czemu piszę takie rzeczy ponure i rozpaczliwe. Czy mi źle z nimi, wśród przyjaciół? Piekło! Ale Władek, który mię kocha coraz więcej, ogłosi mię niedługo za pierwszego poetę w Polsce.

Kiedyśmy doszli do domu, Zaleska przypomniała sobie, że nie kazała zapalić w piecu i w pokoju będzie zimno. Władek wszedł z nią na górę, aby rozpałcić ogień. Czekałem na niego kilka minut, aż wreszcie znudziło mi się stać na mrozie, znudziło czysto fizycznie—i odszedłem. Chodziłem długo nad Sekwaną i myślałem. Myślałem, dla czego Sekwana nie zalewa brzegów.

.....

Przed chwilą wyszedł ztąd Poliński. Przybiegł z plotką. Spotkał się na obiedzie z Turskim. Turski był strasznie zgorączkowany: biega po wszystkich urzędach Paryża, wyrabia dla siebie i narzeczonyj dokumenty. Ślub odbyć się ma koniecznie jeszcze w tym miesiącu.

Czy rozumiesz?

Czy rozumiesz, ty podła, trupia masko!?

HAMLET.

[Str. 65]

Hamlet.

[Str. 67]

Dyrektor wielkiej przędzalni Senger & C-ie w Pabianicach wstał, jak zwykle, o godzinie siódmej. Buty elegancko świecące i ubranie przygotowane były z należytą punktualnością.

Kawa, której dyrektor wielkim był amatorem, była mocna; masło—świeże i zimne, bułki—chrupiące; posiłek ranny najmniejszego powodu niezadowolonia mu nie dał. Pokrzepiwszy się, dyrektor włożył kapelusz, przejrzał się w lustrze, musnął cokolwiek siwiejące już wąsy, i widocznie zadowolony ze swej postaci, wolnym krokiem do fabryki się udał. Tam też wszystko we wzorowym znajdowało się porządku: maszyny były w pełnym biegu, robotnicy na miejscach swoich. Dyrektor obszedł wszystkie sale, wydał parę drobnych rozporządzeń, zajrzał do wydziału administracji, gdzie go o niewielkiej, zawsze jednak korzystnej zwyzce zawiadomiono; w końcu wrócił do swego laboratorium, gdzie się główne jego zajęcia skupiało. I tu miara powodzeń się nie przerwała; przeciwnie, wiadomości były pomyślniejsze jeszcze niż w fabryce. Zaraz na wstępie powitał go pomocnik chemika radosną nowiną, że nowa farba »trzyma«. Nowa farba była własnym pomysłem dyrektora, który od dawna się trudził, aby drogą, rektyfikowaną benzynę tańszymi materiałami zastąpić. Długie były niepowodzenia, zanim przed tygodniem udało się otrzymać równie piękny błękit, jak ten, który znacznym kosztem z zagranicy sprowadzano. Pozostawało zbadać, czy barwnik da się do tkanin zastosować. Dyrektor zrzucił marynarkę, wdział ceratowy fartuch, i z namaszczeniem zasiadł do pracy przed stołem zastawionym próbkami, kolbami, flaszkami. Robota aczkolwiek nie trudna, zajęła jednak dość czasu. Trzeba było z każdej flaszki wylać kropel parę na długie zabarwione nową farbą paski sukna, suszyć je na słońcu, badać przez szkła, zapisywać i porównywać rezultaty. To też kiedy dyrektor próby swoje skończył i z lubością na fotelu się przeciągnął—było południe. Rozległ się dzwon oznajmiający robotnikom obiad i godzinny odpoczynek. Dyrektor spojrział na zegarek, przekonał się, że sygnał obiadu dany został punktualnie i zaczął się namyślać, co robić z dwiema godzinami, które mu jeszcze do chwili obiadu pozostawały. Pracę skończył, do domu nieuporządkowanego wracać nie lubił, zdecydował się więc wstąpić do biblioteki.

[Str. 68]

Biblioteka była dziełem samego dyrektora, który w początkach swego dyrektorstwa dość żywo pamiętał o hasłach młodzieńczych. Obejmując swoje obowiązki, wymógł na kompanii kapitalistów, że dali na bibliotekę salę i zgodzili się z rocznego obrotu pewną sumę na zakup książek wyznaczyć.

[Str. 69]

Bibliotece tej z zapalem założonej początkowo nieźle się wiodło; były książki, byli i czytelnicy. Powoli jednak, bez widocznego powodu, jad ospałości się wcisnął; robotnicy wrócili do szynkowni, oficjaliści do kart, książek kupowano mniej, i już od roku rzadko można było kogo zastać w bibliotece. Gdy dyrektor wszedł do sali, pustka tam panująca niemile go uderzyła: był to pierwszy wyłom w murze zadowolenia, które od rana duszę jego otaczało.

Wziął ze stołu »Kuryer« i zabrał się do czytania: warszawska brukowa gazeta stanowiła jedną z jego potrzeb. Przeczytał sumiennie pełną animuszu kronikę polityczną, przerzucił część rozporządzeń urzędowych, doszedł do doniesień osobistych, gdzie na pierwszym miejscu, wyczytał: »Znakomity profesor uniwersytetu w Bonn p. Zygmunt Rosicki na dni kilka do miasta naszego zawitał. Z Warszawy udaje się na letni wypoczynek do majątku swojego w kieleckiem«.

Wiadomość ta zastanowiła dyrektora. Rosicki był jego uniwersyteckim kolegą, i dźwięk tego nazwiska odrazu przerzucił mu myśli o dwadzieścia lat wstecz, w dawno upłynione chwile wspólnie spędzonej młodości. Napróżno próbował czytać dalej. Wspomnienia, pełzając jak węże, jedno po drugim wślizgiwały mu się w duszę. Odłożył gazetę, machinalnie podszedł do okna, spojrzął na podwórze, gdzie grupami siedząc na ceglach obiadowali robotnicy, i począł chodzić zwolna po pustej, cichej sali.

[Str. 70]

Przeszłość daleka i zwykle zamglona, odżywała nagle w oderwanych obrazach jaskrawych i światła pełnych. Przemysłane marzenia, uczucia przecierpiane, zdarzenia przeżyte, to, co powiązane i spojone, zda się, w jedną całość, stanowiło jego przeszłość, jego życie, powstawało rozbite na części i porozrywane: jedno życie rozkładało się na sceny obce sobie, jak figury kalejdoskopu.

Jak dawno, jak dawno był tym młodzieńcem, pełnym wygórowanych acz nieświadomych nadziei, niespełnionych marzeń, młodzieńcem, któremu wolno nie mieć jeszcze wspomnień, żelaznym ciężarem kładących się na duszę! I wyobraźnia rysowała mu własną jego postać, nie tę, jaką widział w lustrze i której kłaniali się obywatele pabianiccy, lecz tę, która tam przed laty, w starych murach akademickiego grodu, myślała i żyła, cieszyła się z pochlebstw przyjaciół, cieszyła się z śpiących na dnach piersi sił, które ockną się kiedyś i pójdą niewiedomo gdzie, lecz zawsze po zwycięstwo. Młodość jest wielkim czarodziejem. Lekkomysłnie i nieświadomie upiększa sobie życie potęgą wielkich słów, których działania zda się niewiedzieć, jak lufa nie zna działania zabójczych kul, które wyrzuca. Miłość, rozkosz, sława, społeczeństwo, ludzkość—wszystkie hasła, które dla dorosłego człowieka, świadomego cen życia, rzadkim są pokarmem, dla młodzieńca zwyczajna to strawa. Uścisk służącej w ważkim korytarzu—to miłość; serdelek pokropiony szklanką piwa—to rozkosz; wierszyk zaśpiewany kolegom—sława. Błogosławione kłamstwa! ... lecz biada tym, którym ambitna żądza zapomnieć nie da, że te słowa—to tylko fałszywie ponaklejane etykiety, które odjąć trzeba, gdy handel idzie na seryo. Ci zechcą w życiu, tak jak w młodości: rozkoszy, miłości, sławy ... i życie im nie odmówi: dostaną małżeństwo z przyzwyczajenia za miłość, drugorzędną restaurację za rozkosz, kuryerkową pochwałę za sławę. Rosicki znakomitym uczonym! Dobrze to kadzidło dla tłumu, który zapomni o tej sławie, jak zapomni o dźwięku nazwiska, którego nie słyszał nigdy. On przecież wiedział, bo za ruchem naukowym śledził machinalnie, co to za sława ta i setki jej podobnych. Całe życie spędzone w jednej myśli, poświęcone odnalezieniu jednego prawa, jednego objaśnienia, cała praca rozpalonego przypiływem krwi mózgu, oczu roziskrzonych nadzieją odkrycia—zaklęta w długich szeregach cyfr i wierszów, które przeczyta równy autorowi szalenięc po to, aby nazwać prawa pierwsze błędem, rachunki—fałszem, oczekiwania—ułudą. A nad obydwojma za lat parę przejdzie potężnie tłoczący walec czasu; ktoś jeszcze może o nich wspomni, choć dla niego życia w pracach ich nie będzie. Minie jeszcze lat kilka i nazwiska ich porosną wiecznym zapomnieniem, jak zarasta wydeptana w trawie nogą wędrownika ścieżka, po której nikt nigdy nie przejdzie. Oto był los tego, na kim w młodych latach zdawał się leżeć promień nieśmiertelności, on to był przecież, który w ciszy pokoju, oderwawszy się na chwilę od pracy, mówił do siebie cichemi i drżącymi ustami, że ślad jego nie zaginie, że ręka, która wyrwie naturze prawdę, sterczeć będzie świetlana z nocy zapomnienia długo, długo—może wiecznie. A jednak ten homunkulusowy gieniusz był szczęśliwy; dyrektor widział go przed rokiem: był przekonany o ważności i potrzebie prac swoich, wierzył w miniaturowe prawdy, które głosił, był upojony wzmiankami i pochwałami gazet. Był szczęśliwy—szczęśliwością skazańca, który idzie na nieznaną śmierć z zawiązanymi oczami. Dyrektor czuł teraz dla przyjaciela swego dziwną zazdrość, której mękę łagodziła tylko wyrafinowana rozkosz i duma, że on tak szczęśliwym być nie mógł. On widział teraz, gdy wspomnienia młodości wionęły mu na duszę, jak na spopielone ognisko, gdy w roznieconym ogniu odżyły dawne marzenia, że życie ich zawiodło, nie dało im nic, nie zbliżyło na krok do wielkich światła, ku którym płynąć chcieli.

[Str. 71]

[Str. 72]

[Str. 73]

Z gorączkową niecierpliwością, zagłębiając się w siebie, zaczął rozdzierać na kawały swe życie, badać każdą chwilę, każdą myśl, każde wzruszenie, wszystko, co przeżył przez lat dwadzieścia. Badana z nienawiścią, oświecana blaskiem znów rozgorzałych marzeń powstawała teraz przeszłość o barwach trupich, o kształtach zgiętych i spodlonych.

Jakiem było to jego życie, za które go chwalono i na wzór dorastającej okolicznej młodzieży podawano!.. Czyż od chwili, kiedy po raz ostatni z murów wszechnicy zabrzmiały za nim hasła świetnej młodości, nie był to jeden nieprzerwany upadek, powolne pogrążanie w trzęsawisku

codziennych trosk i codziennych rozkoszy? Czyż od dnia, kiedy rozpoczął samodzielny żywot i wstąpił do fabryki, początkowo jako bezpłatny praktykant, miał chociaż jedną chwilę, które; by mógł powiedzieć: »stój jesteś piękną«? O tak; przebiegał szybko stopnie hierarchii fabrycznej, aż dziś stanął na jej niewysokim szczycie; miał coraz, więcej pieniędzy i coraz mniej marzeń i nadziei, jadał coraz lepsze kolacje, spędzał nocę u coraz droższych dziewczyn. To były rozkosze jego kawalerskich czasów; a prace? Pracował nad farbowaniem perkalu od rana do wieczora, wynalazł nowy błękit, doglądał biblioteki, założył szkółkę. Pusta sala czytelniana i szkółka z dziesięciorgiem leniwych dzieci, to było wszystko, co w życiu swem stworzył i czego dokonał... Później znudziły go kolacje i dziewczyny, znudziła samotność obszernego mieszkania, więc postanowił się ożenić. On, którego wyśmiewali trochę koledzy za romantyzm, za to, że szukał w kobiecie poezji, niepowszedniego wdzięku, ożenił się z najprzeciętniejszą panną, córką swego byłego zwierchnika, ożenił z nudów i przyzwyczajenia, bo swoją przyszlą codzienną przy obiedzie widywał. O miłości, uczuciu, o namiętnem, pełnem męki pożądaniu nie było tam mowy. Było to małżeństwo jakich wiele, jakie wszystkie. Przyzwyczajenie, przyjaźń, oparta na przyzwoitości, sympatya towarzyska była jedyną treścią ich stosunku. Pożycie małżeńskie płynęło im spokojnie i szczęśliwie, od chwili kiedy ją, wiedzącą wszystko z książek i ledwie drzącą wprowadził po raz pierwszy do sypialni, aż do dnia dzisiejszego, kiedy posuwający się wiek rzadszymi uczynił wybuchy czułości. Nie zdradziła go żona—wiedział o tem; nawet myśl podobna nie przesunęła się nigdy przez jej umysł; był że to dowód miłości i przywiązania? Chłodne z natury miała zmysły—a zresztą na tem pustkowiu, gdzie się osiedlili, nie miała z kim go oszukiwać; nie upadła, bo droga jej była równa i prosta.

[Str. 74]

[Str. 75]

I poczuł nagle dziką złość do kobiety, która była jego żoną, złość za wszystkie niedoznane pieśczęty miłości i męki zdrady, za dziesięć lat spokojnego filisterskiego szczęścia w zawsze ciepłych i zawsze otwartych ramionach.

Nie, nie miał racji złorzeczyć jej. Czyż nie dbała o jego wygody, czyż nie dawała mu dowodów uległości, czyż nie obdarzyła go dwojgiem dzieci, które od lat ośmiu krzykiem, i kłótniami dziecięcemi zapoznawały go z rozkoszami ojcostwa? Myśl o dzieciach przywiodła mu na pamięć, że obiecał był wcześniej do domu powrócić i po obiedzie z rodziną udać się do pobliskiego lasu. Nagle wyobraźnia, jak znarowiony koń rzuciwszy się w bok, jaskrawo i dobitnie przedstawiła mu obraz takiej rodzinnej wycieczki...

...Po rżysku, oblanem promieniami zachodzącego słońca, idą dzieci, prowadzone przez guwernantkę; za nimi w odległości kilku kroków, on, pod rękę z żoną, której nie ma nic do powiedzenia, prócz zapytań, co będzie dziś na kolację lub jutro na obiad. Słońce rzuca coraz krwawsze blaski, z ziemi wilgotnej po deszczu powstają fioletowe opary, nadając odległym drzewom fantastyczne kształty widm; zbliża się pełna uroku godzina zmierzchu; oni nie widzą, nie czują, wszyscy idą spiesznym krokiem, skarżąc się na zimno: herbata na wieczór przygotowana, wystygnać może. Nie takim okiem i sercem spotykał niegdyś wschodzącą noc!!...

[Str. 76]

Wzdrygnął się przed tym obrazem dyrektor, i jakby pragnąc odeń uciec wyszedł gwałtownie z sali. Chciał iść gdzieś w pole, ale mimowoli tyloletniem przyzwyczajeniem wiedziony skierował się przez podwórze do domku swego, naprzeciw fabryki. Nie widział ukłonów składanych mu przez robotników i ofycjalistów, przeszedł ogródek, który dworek jego otaczał, i przez podjazd szybko wbiegł na schody, prowadzące do mieszkania; nerwowo, silnie, dwukrotnie zadzwonił. Po chwili drzwi się otworzyły. W drzwiach ukazała się sama pani domu, elegancko ubrana; w rękę trzymała miotłkę—znak, że mimo kokieterijnego stroju, gospodarskich kłopotów jeszcze nie ukończyła. Powitała męża zwykłym uśmiechem i wyciągnęła doń usta dość jeszcze świeże i ponętne. Dyrektor nie miał jednak humoru do pieśczęt. Na uśmiech nie odpowiedział, usta pocałował machinalnie bez zwykłej czułości, i nic nie mówiąc wszedł do swego gabinetu. Żona nie próbowała nawet pytać o przyczynę złego humoru, wiedziała, że mąż najłatwiej sam się uspakaja, zamknęła więc drzwi i do przerwanej roboty wróciła.

[Str. 77]

Dyrektor tymczasem dalekim był do uspokojenia; przeciwnie, spotęgowały się jeszcze rozstrój i niezadowolenie z siebie w domu, gdy codzienne życie mocniej go objęło. Przeszedł kilkakrotnie pokój szybkimi krokami, rzucając dla siebie tylko zrozumiałe wyrazy; w końcu zmęczony usiadł przy biurku i znów zagłębił się w ponurą zadumę.

Tak; zmarnował życie; czuł to aż nadto dobrze; zapóźno już teraz, gdy czwarty krzyżyk do ziemi go przyniata, nowe zaczynać. Zresztą, czyż warto? Gdzież pewność, że nie byłby po raz drugi zawiedziony gorzej, niż teraz? Gdyby można porzucić szalone marzenia, zgodnie zadawałnając się tem, co życie dało: spokojnem ciepłem domowego ogniska, względnym mieszczańskim dobrobytem, tem wszystkim, co położenie jego dla wielu zazdrości godnem czyniło! Nie czuć, nie myśleć, nie przypominać sobie... w bezmyślnym spokoju dobrze karmionego zwierzęcia korzystać z okruszyn życia byłoby najlepiej! Wszak upływały całe lata, kiedy podobne myśli do głowy mu nie przychodziły, gdy żył, jak inni, z zimną głową i jak inni był szczęśliwy. Niestety, spokój długich lat zatruć mogła jedna taka, jak obecna, godzina.

[Str. 78]

Bezcelowy wzrok podniósłszy z ziemi, obrzucił nim cały pokój: wstrętnemi mu były drogie obicia, sztychy na ścianach, świecidelka stojące na biurku, te wszystkie oznaki średniej zamożności, upiększającej swe siedlisko parodyą bogactwa i sztuki. Od figurki saskiej wzrok jego przesunął się po biurku i padł na rozłożoną książkę. Książka ta zwróciła jego uwagę. Przypomniał sobie, że ubiegłego dnia wieczorem czytał w gabinecie, lecz co, nie pamiętał. Wziął rozwartą książkę, spojrział w nią—był to tom poezji Krasińskiego. Oczy jego błędziły chwilę po otwartej stronie, w końcu zatrzymały się, jakby przykute: »Trzeba być Bogiem lub nicością«.

...Tak, gdyby, nawet całkiem inaczej życiem swem pokierował, niezadowolenie, wieczny wielkich

żądań towarzyszy, nie odstąpiłoby go ani na chwilę... Teraz zrozumiał się jasno. »Trzeba być Bogiem, lub nicością«.

Bogiem niemożliwa, nicością zostać łatwo. Jedna krótka chwila bólu, chwila pasowania się życia ze śmiercią i później wieczna noc: zniknie i rozprószy się, jak zdmuchnięty płomień.

Pociągnęła go ta myśl. Naprawdę nadludzkim wysiłkiem duszy chciał odczuć to, co będzie czuł, gdy czuć przestanie, chciał Odczuć siebie, jako zimnego trupa; wyobraźnia smagana biczem woli, cofała się z drżeniem przed nieuchwytnością śmierci. A jednak ten przeraźliwy spokój i cisza nęciły go coraz więcej. Leżeć tak z zamkniętymi oczami, z rozchyłonymi ustami, z pogardliwym uśmiechem dla wszystkich rozkoszy i zgryzot, które po jego śmierci, jak dawniej, będą dusiły ludzi w wiecznej z sobą walce, wyrwać się wszystkim myślom, które dręczą, uciec tam żalowi za młodością, za siłami, które znikły, za marzeniami, które się rozplynęły—co za rozkosz! Czyż nie przyjemna, że śmierć jego zadziwi wszystkich, śmierć człowieka, który był bogaty, młody, szczęśliwy, że go zaczną podziwiać, zanim nie nazwą głupcem, lub waryatem, bo rozumieć nie będą? [Str. 79]

Dyrektor otworzył szufladę, wydobyl mały błyszczący rewolwer i z uwagą zaczął mu się przypatrywać. Rewolwer był nabity: jeden otwór bębena ukryty w lufie, pięć innych świeciło nikłowymi stożkami kul. Dość zbliżyć lufę na odległość cala, potem jedno pociśnięcie, jeden błysk i grom, jedno uderzenie krótkie i druzgoczące, a kula przebije skórę, wciśnie się w warstwy mięśni, strzaska szaniec kości, aż zmęczona walką, obmyta w krwi odpocznie w miękkich zwojach mózgu. Z dziwną lubością zatrzymał się na tym obrazie. Widział się leżącym na kanapie z ustami szeroko rozwartymi, pełnemi na wpół skrzepłej krwi, z rysami wykrzywionymi przez ból, z ręką daleko odrzuconą, z rewolwerem w kurczowo zaciśniętej dłoni. Widział naokoło siebie domowników, zbiegłych na odgłos strzału, żonę ze łzami w oczach, dzieci przerażone nowością widoku, sługi, zaglądające ciekawie przez uchylone drzwi, i gdy naokoło niego krzątać będzie ten cały tłum, pełen zgryzot i kłopotów, które jutro już inne zastąpią, pełen szczerzego smutku, skazanego na prędkie pocieszenie, on leżeć będzie spokojny i pogardliwy. Nawet ta myśl, która często głowę mu rozsadza, ta myśl, że śmierć—to ostateczny koniec jego istnienia, przerwanie gwałtowne jego ja, które myśli, czuje i chce, nawet ta myśl, która dziś jest w nim nie przecięnie się przez spokój grobu. [Str. 80]

Dyrektor zanurzał się w otchłań śmierci, jak pływak nierozważny idący w morze, które falą ruchliwą i wiotką, pieszczotliwą a figlarną otacza mu kolana i biodra, łechce piersi, szyję całuje, to zbliża się, to ucieka, a wabi zawsze. Za zmienną falą idzie odurzony pływak coraz dalej; nie widzi, że uciekła mu już ziemia, nie czuje, że noga dna nie chwyta, że fala do ust mu się skrada, tysiącem pereł oczy mu oślepia, do uszu rozkoszne obietnice szepce. Jeszcze jeden krok—i roztwiera się toń, która ma go schłonać. Dyrektor zbliżył się już do tej granicy. Żądza spokoju, niebytu, coraz potężnie; ogarniała mu duszę; błyszcząca lufa, świecące ostrza kul zdawały się go hipnotyzować i usypiać zwykle nie drzemiacą chęć życia. Wolną bezmyślną ręką zaczął kręcić bębenek rewolweru; słuchał chrzęstu, jaki wydawała każda kula, stając przed otworem lufy i znów przysuwał do lufy następną, jakby nie wiedząc, której poruczyć wykonanie nieświadomego jeszcze, choć już zapadłego wyroku. Znów obrócił bębenek dokoła; teraz wybierze trzecią kulę. Trójka była zawsze jego ulubioną liczbą. [Str. 81]

Nagle zapukano do drzwi. Cienki dziecięcy głosik odezwał się: »Tatusiu, mama prosi na obiad«.

Na dźwięk głosu dyrektor wzdrygnął się i rewolwer prędko rzucił na stół, jak żak schwytyany na gorącym uczynku. Spojrzał na zegarek. Była druga: obiad podano punktualnie, godzinę już rozkoszował się przedsmakiem śmierci. Ale teraz wykonać zamiar jawnym było niepodobieństwem: cały obraz, który sobie wymarzył i ukochał, mógłby ulec zmianie: zresztą dziecko przeraziłoby się strzału i strasznego widoku trupa. Nie iść na obiad nie można; przyjdzie żona, zapyta o powód, zobaczy rewolwer; jeśli się domyśli lub przeczuje, zaczną się płacze i spazmy. Najlepszem więc zdało mu się udać spokój i siąść do stołu a zamiaru zaraz po obiedzie dokonać. [Str. 82]

Dyrektor wstał, twarz do zwykłego wyrazu ułożył, rewolwer schował i wyszedł do jadalnego. Dzieci pocałowały go w rękę i zaczęły gwałtownie wspinać się na swe krzeselka. Jadalnia mimo jego woli przyjemne na nim sprawiła wrażenie: uderzyły go mile jasne tapety, których barwę podnosiło łagodne światło słoneczne, przecedzone przez gęste story, uderzył go zapach róż z bukietu, stojącego na kredensie. Duży stół czysto był nakryty i symetrycznie zastawiony srebrnymi przyborami; na środku pyszniła się waza; pokrywa broniła jeszcze parze wydostać się z ukrycia i roznieść po pokoju woń podanej zupy.

Cały ten widok zamożnej jadalni podczas smacznego obiadu bił żywo w najgłębsze struny ludzkie; zwierzęcości, zdawał się wysławiać wszystkie rozkosze jedzenia... jak zachwycone nozdrza rozszerzają się z lubością, aby wciągnąć podniecający aromat; język wybredny kochanek, krótko się pieści z każdym kąskiem, lecz i w szybkim uścisku potrafi wyssać całą skalę uniesień; żołądek mniej zręczny i gibki zadawalniać się musi odpadkami języka, aż wreszcie zlekka wzdęty nakaże koniec biesiadzie. Ciepłe strumyki rozchodzą się po całym ciele, tysiącznemi korytami do serca i mózgu, do piersi i ręki biegnie od żołądka radosna wieść, dobra nowina: »jestem zdrow i pełen«. Serce chciało kochać i cierpieć, mózg—zwycięzać i ginąć, ręka—tworzyć i opadać; żołądek zmusił ich do milczenia, on sam tylko jest panem. [Str. 83]

Dyrektor siadł. Czuł, że myśli, które w głowie ułożyły się w systemat i żądały wniosku, pierzchnęły, jakby wsiąkły w parę, buchającą z wazy i jak mgła rozprószyły się w nicość; czuł, że *ten on*, który z zimną krwią przykładał rewolwer do ust, wymykał mu się; naprawdę go

przywoływał; czuł, że gdyby nim był teraz, wśród żony i dzieci, udawałby tylko. Chciał się gniewać na siebie i oburzać—nie mógł.

Rozlano zupę. Żona wybrała mu najładniejsze i najcieńsze uszka. Machinalnie wziął łyżkę, zanurzył w talerz i poniósł do ust. Gorący, ostry, zaprawny korzeniami barszcz, jaki bardzo lubił, polectał mu podniebienie. Myśli, które jak ómy płomień otaczały go przed godziną, pierzchnęły jeszcze dalej; jeszcze jedna łyżka—już ich nie widać, tylko cień ich padał mu wciąż na duszę; jeszcze jedna—i cień zniknął, jak ostatnia chmura po letniej burzy.

Dyrektor się uśmiechnął: był to znak pożegnania dla znikomych przywidzeń, pobłażania dla siebie; z tym uśmiechem spojrzy teraz w przeszłość. [Str. 84]

Wziął jeszcze parę łyżek, zaśmiał się do żony, poklepał ją po ramieniu i do dzieci zawałał: »No dzieci zaraz po obiedzie mi się ubrać i marsz na spacer«.

Barszcz był tak smaczny.

PRZYSIĘGLY.

[Str. 85]

Przysięgły.

[Str. 87]

Dnia 5 maja.

Skazaliśmy go na śmierć. Sprawa była tak prosta, że obrady nasze, nie wiem czy pół godziny trwały. O piątej popołudniu przewodniczący wręczył nam pytania i objaśnił, co każde z nich znaczy i jakie za sobą pociąga skutki, a już przed szóstą oddaliśmy nasze głosy. Na wszystkie pytania odpowiedzieliśmy *tak*, jednomyślnie. Nawet doktor Kuczyński, który od czasu, jak się hipnotyzmem zajął, wszędzie upatruje suggestyą, nawet ten musiał odrzucić swą łagodność i skrupuły. Bo też rzeczywiście ani jednej okoliczności, zmniejszającej winę. Chłopak 25-letni, nicpoń, leniuch wypędzony z warsztatów za ciągle awantury z majstrami i kolegami, dręczył matkę, która go napominała; ostatni, ciężko zapracowany grosz od niej wyłudzał, aż wreszcie, aby sprzedać resztę jej rzeczy, których oddać nie chciała, zabił ją trzykrotnym uderzeniem siekiery. I żeby choć cień skruchy. Wiedział, że kary nie ujdzie, więc, aby korzystać z czasu, rzeczy za bezcen sprzedał i poszedł pić do szynku ze znajomymi prostytutkami; u jednej z nich go znalezione. W sądzie opowiadał o zabójstwie z krwią najzimniejszą, choć rozumiał dobrze co go czeka, bo siostrze, gdy zeznawała, pokazywał wciąż na gardło swoje, jakby chciał rzec: »ostrożnie ze słowami, bo powiesz«.

[Str. 88]

Zresztą był spokojny. Zupełne zwierzę: zgoła uczuć moralnych; wrażliwość nawet zmysłowa osłabiona, dotyk nieczuły, zwyrodnienie najwidoczniejsze.

Wyszedłem z gmachu sądowego z radcą Tańskim; spieszyliśmy się bardzo: o godzinie 12-stej zaczęło się to ostatnie posiedzenie, do godziny 6-tej pozostaliśmy bez jedzenia. Regulamin zabrania jadać w sądzie. Z prawdziwą rozkoszą wyobrażałem sobie powrót do domu. Sprawa ciągnęła się tydzień i przez ten czas prawie wcale w domu nie bywałem. Nie wiedziałem jak dzieci stoją w naukach; mały Franuś trochę kaszlał, nie zdążyłem nawet posłać po lekarza, z żoną od dwóch dni chyba nie mówiłem nawet. Wyobrażałem sobie szczekanie psa w przedpokoju, radość dzieciaków, uśmiech żony, że wreszcie do nich wróciłem. O samej sprawie już nie myślałem.

Przechodząc koło sklepu z zabawkami, kupiłem dla Jasia pałasz, dla Zosi i Franka—łamiągówkę. Toż będzie uciecha!... [Str. 89]

Kiedy w końcu dostałem się do swego mieszkania i zadzwoniłem, zdziwiłem się, bo długo kazano mi czekać. Czyżby wyszli? Zadzwoniłem raz, drugi. Po chwili dopiero otworzono. Ani światła w przedpokoju, ani dzieci nie widzę, tylko słyszę z kuchni lament i płacz. »Co się stało?«—zapytałem przestraszony.

—Hektora tramwaj przejechał i dzieci tak po nim lamentują.

Odetchnąłem lżej, choć psa żal mi było bardzo, bo dziewięć lat był u mnie i do dzieci się przywiązał. Wszedłem do kuchni. Na ziemi leży Hektor z otwartym brzuchem i połamanymi nogami; dzieci nad nim szlochają, a żona napróżno stara się je pocieszyć, bo widzę, że sama zmartwiona i gdyby nie dzieci, też by się rozplakała.

Dzieci nawet nie zwróciły na mnie uwagi; zbyt były zajęte swym bólem.—Zły byłem, że mi się popsuka cała przyjemność, które; się spodziewałem. Psa mi też żal było: dziewięć lat trzymać zwierzę, to można je prawie pokochać.

—Weźże dzieci; to nie dla nich widok, rzekłem do żony. Przemocą prawie trzeba je było wprowadzić. Słyszałem przez drzwi, jak płakały.

Pochyliłem się nad Hektorem, chcąc zobaczyć, czy nie możnaby go uratować. Żył jeszcze; widocznie bokiem na szyny upadł, bo obie tylne nogi były w kilku miejscach złamane i brzuch miał rozplątany brzegiem koła, i trzewia przecięte zupełnie prawie z jamy brzusznej wypadły; [Str. 90]

krwi naokoło wylała się kałuża. Dotknąłem go ręką; drgnął, lecz już nie jęknął wcale. Nie ma co myśleć o ratunku. I żal mi się go zrobiło tak bardzo, że sam uczułem łzę w oku. Mój biedny Hektor!

Trzeba go było dobić, bo inaczej mógłby parę godzin konać. Poszedłem po rewolwer; nie wiedziałem jeszcze, czy będę miał odwagę do psa strzelić. Przy pomocy służącej włożyłem go do drewnianej wanienki. Zawył, gdyśmy go przenosili. Na ziemi, prócz krwi, została kupka skrwawionych kiszek.

Służąca wyszła z kuchni; nie chciała na ten widok patrzeć. Nabiłem rewolwer; czułem, że mi się mdło robi i ręka mi skacze i rewolweru prawie nie trzyma. Jak mogłem, psu w ucho lufę wsadziłem i zamknąwszy oczy, strzeliłem. Po strzale nie śmiałem otworzyć oczu. Słyszałem, że drzwi skrzypnęły; spojrzałem, to żona weszła. Kula rozbiła psu czaszkę; nie drgał już, tylko mu skóra na szyi dygotała i nozdrza trochę się ruszały. Trwało to chwilę—ustało w końcu. Nie żył.

Wróciłem do pokoju. Słyszałem jak się żona krzątała w kuchni, rozmawiała ze stróżem, potem z kucharką, kazała dać obiad. Nie ma co mówić, ładny obiad! A ja się tak spieszyłem na ten rodzinny obiad z wesołymi memi dziećmi. Dzieci wciąż ucierają nosy, jedzą, ale do łyżki łyż im kapią; są tak smutne, że nawet moje podarki ich nie pocieszyły. Żona siedzi chmurna; widzę, że jej psa żal. I mnie żal Hektora i zły jestem, że sam smutny i że inni naokoło mnie smutni. [Str. 91]

Wreszcie się ten ponury obiad skończył. Wyszedszy z sądu, cieszyłem się, że wieczór w domu spędzę. Nie mogłem jednak teraz usiedzieć. Poszedłem do kawiarni na gazety. Rzeczywiście dobrze mi się wiodło! W domu zmartwienie, a tu wpadli na mnie dwaj znajomi i kazali opowiadać wszystkie szczegóły przekłętą procesu. Przecież to była *cause célèbre*! I znów musiałem przeżywać te wszystkie obrzydliwości, które mi cały tydzień zajęto. Trzymali mnie do pierwszej po północy. Musiałem im opowiadać dokładnie akt oskarżenia, zeznania świadków, odpowiedzi oskarżonego, wszystko. To nieznośne. Na drugi raz po takim procesie, na miesiąc w domu się zamknę, o ile mi naturalnie psa znów nie przejadą. Wróciłem późno do domu, z bólem głowy, zły na wszystkich.

Dnia 6 maja. [Str. 92]

Nie wiem, czy mnie śmierć mego ulubionego psa tak rozstroiła, że dotąd się wzdrygam, gdy na rewolwer spojrzę, czy też dlatego, że wczoraj do późnej nocy o tym procesie mówiłem, ale dziś od rana z myśli mi nie schodzi. Jest to tak męczące, to zwrócenie wszystkich myśli na jeden punkt, którego żadną siłą ruszyć nie można, że doprawdy mam zawrót głowy, jak ten, kto tak długo w jedno miejsce się wpatrzy, aż mu barwne kółka przed oczami skakać zaczęły. i nie tylko myśli mam jakby zaczarowane, na zmysłach moich jakieś przekleństwo. Widzę, ależ najrealniej wyobrażam sobie tego Pułkowskiego zabójcę i te całe hordy jego przyjaciół i przyjaciółek, których tam za świadków spędzono. Nie jestem muzykalny, melodię zapamiętać nie umiem, a teraz zdaje mi się, że mógłbym odtworzyć każdy ton jego chrapliwej mowy. Musiałem bacznie czuwać nad sobą, abym nie spróbował *jego* głosem mówić. Przypominam sobie najdrobniejsze szczegóły sprawy; z pamięci mógłbym chyba powtórzyć wszystkie akty.

Co to jest? Przecież między nami skończone wszystko. Spełniłem swój obowiązek; wybrano mnie, osądziłem według sumienia, nie miałem żadnych wątpliwości, powinienem wrócić do swych zajęć, a nie myśleć o tem, gdzież wszystkiego, czego odemnie żądano, dokonał. Stanowczo muszę być niezdrów, to tylko mnie ten proces tak dokucza. Po obiedzie był u nas Tański; mówił wciąż o swej podróży do Wiednia i o tem, że zapewne dostanie tam awans; przecież, gdyby go coś dręczyło, mówiłby o tem ze mną najprędzej. Gdzie tam... Zacząłem mu wspominać o wczorajszym sądzie, ale widziałem, że go ten przedmiot wcale nie zajmował. Muszę się przewzyciężyć. Zresztą to samo przejdzie; nie wiem, co by mnie zmusić mogło, abym bez przerwy, jak ćma koło świecy, koło tego zabójstwa w myśli się kręcił. Matkę już pochowano, jego powieszają. Co mnie to teraz obchodzi? [Str. 93]

Dnia 8 maja.

...A jednak myślę wciąż o nim. Przedmiot ten jedyny tak mnie ciągnie, tak zajmuje, że już nie staram mu się oprzeć. Przeciwnie, wczorajsze rozumowania moje były błędne. Ja rozstrzygałem o jego losie, słuszną więc jest rzeczą, abym dopóki on jest jeszcze, o niego się troszczył. Nie należy przecież obowiązków swoich zbywać machinalnie. To dobre dla panów urzędników, radców i nadradców, podpisać papier i sądzić, że już cały obowiązek wykonali. Nie, papier podpisany przeczytać, rozkaz wydany śledzić należy, wtedy jest się wzorowym działaczem. Ja takim chcę być, dlatego śledzę i śledzić muszę.—Tembardziej, że ten człowiek mnie obchodzi, obchodzi bardzo żywo. Cały tydzień się z nim spotykałem, zadawałem mu pytania, zaglądałem mu w duszę i... poznałem ją trochę. Chcę więc wiedzieć, co się z nim dzieje. Przyjść do sądu, słuchać, potem wydać wyrok, choćby na śmierć i wyjść i o nic więcej się nie troszczyć—to nie dosyć. Przecież słowa nasze, to nie Jowiszowe gromy, nie zabijają od razu. Od wyroku naszego, od chwili, kiedy przewodniczący odczytał: Pułkowski Jan skazany jest na powieszenie—do samej śmierci ten człowiek żyje. Ja powinienem wiedzieć, czy to trochę życia, które mu zostaje, czy to rozkosz dla niego, czy kara. [Str. 94]

W imię sprawiedliwości, ja powinienem wiedzieć, co on teraz czuje, powinienem z nim być.

Pójdę do prezydenta i zażądam, aby mnie do jego celi wpuścić kazał. Ja muszę go widzieć, muszę zobaczyć, czyśmy go rzeczywiście ukarali.

Dnia 9 maja.

Prezydent zdziwił się mojemu żądaniu. Argumenty moje są przecież jak najściślejsze i nie do zbiccia, a on doprawdy nie rozumiał. Już to prezydent orłem się nie urodził. W końcu mi oświadczył, że nie może nic dla mnie uczynić, albowiem skazany na śmierć z nikim, prócz dozorczy, widywać się nie ma prawa; ostatniego dnia wolno skazańcowi zażądać do celi, kogo zechce. Potem mi mówił, że moja chęć jest wysoce niehumanitarna: wyzyskiwać dla swego kaprysu tak wyjątkowe położenie człowieka. Czyż mu się zdawało, że ja chciałem tam studia powieściowe robić? Ja chcę z bogacić kodeks o jedną groźbę nową, a znieść tę krew, która się tam leje. Bo kto wie... jeśli ten czas przedśmiertny jest straszną karą, to będzie można skazywać już nie na śmierć, lecz na krótszą lub dłuższą obawę śmierci. Oto skazujemy Pułkowskiego na 5 lat ciągłego lęku śmierci. Przez 5 lat w każdej chwili może wejść oprawca i zażądać swej ofiary, a ona przez 5 lat nie wie czy kat wejdzie—i umiera przy każdym skrzypnięciu rygli, przy każdym odgłosie kroków,—a jednak żyje.

[Str. 95]

Rekursu nie założył, rzekł się więc już wszelkiej nadziei.

Chociaż mnie do więzienia nie wpuszczono, ale ja znajdę sposób. Tak mi się ten Pułkowski blizkim wydaje, tak znanym. Cóżby mi jego słowa powiedzieć mogły?

Dnia 10 maja. [Str. 96]

Co on czuje, nie wiem. Wysiłam się próżno, a jednak powinienem i muszę wiedzieć.

Dnia 11 maja.

Nie wiem nic, ani wczoraj, ani dziś. Te daremne wysiłki mnie męczą. Jestem zdenerwowany, silnie zdenerwowany. Unikam wszystkich; siedzę w swoim pokoju. Mam odszukać duszę, która zniknąć musi, i uczynić ją swoją.

Dnia 13 maja.

To, co się ze mną zdarzyło, jest tak straszne, tak niesłychane, a jednak tak naturalne, że nie wiem czy znajdę siły, aby o tem pisać. Łudziłem się, łudziłem się jeszcze dziś rano. Jak mogło mi się zdawać, że to mój obowiązek, obowiązek sędziego pcha mnie, żebym szedł wolny do jego celi i dygotał z nim razem w przedśmiertnych drgawkach? Kto niewinny mógłby sobie zadać taką tytaniczną, a próżną katuszę? Komuby to na myśl przyszło? Dziś wiem, że to była obłuda, przed samą sobą obłuda.

Dziś czuję, co on czuje, rozumiem, szaleję, bom sam zbrodniarz, bo on mnie duszą swoją zaraził. I jak mogą ludzie się nie domyślać, że tak być musi, że na duszę też przyjsć może zaraza? Marnej choroby, tyfusu lub ospy strzeżemy się, uciekamy, gdy twarz rażoną krostami widzimy; a z dotknięć zbrodni—tego krwawego karbunkułu duszy, wyjść chcemy czysti i zdrowi? Zamiast uciekać od zbrodniarza, jak psy przed widmem, wiążemy go, sprowadzamy do sądu, wybieramy przysięgłych: czoło obywateli, najzacniejszych ojców rodzin posyłamy i każemy im iść w tę zarazę.

[Str. 97]

I narażać musiałem to, co mam najświętszego—czystość swoją, nie dla bliźnich, lecz dla słowa, dla bezkształtnego bałwana, dla sprawiedliwości. Kogo śmierć tego człowieka obchodzi? Ta, przed którą zawinił, już zgniła i może błogosławi mu z nieba. A ja obcy, ja, którybym go nigdy nie spotkał w życiu i nie widział nawet, i dwunastu takich jak ja, poszliśmy i zabiliśmy go...

Dziś rano stanąłem przed lustrem, jak zawsze, aby zaciesać włosy i odrazu zobaczyłem, jak jestem do Pułkowskiego podobny: te same rysy, te same wydęte wargi i czoło cofnięte w tył—dziedzictwo po przodkach naszych dzikich. I kiedym ujrzał tam w lustrze siebie, zabójcę, jak szalony wybiegłem z domu. Uciec, uciec gdziebądź, gdzie nie ma zwierciadeł, nie ma szkielec, nie ma wody, gdzie zobaczyć się nie można! Ale to napróżno. Potwór mój szedł ze mną i każda twarz ludzka była mu zwierciadłem. Czuję dobrze, jak każdy przechodzień musiał we mnie zbrodniarza widzieć, tem nikczemniejszego, że go kara nie dosięgnie. Wiem dobrze, że dla sądu niewinny, że jeszcze ten sam szanowny obywatel. Bo dusze nasze są wolne. Świat do myśli się nie wtrąca; byle czyny dobre, nikt się nie troszczy, jaka zgnilizna wewnątrz? Kto pomyślał o zbrodni, może być zbrodniarzem. Ale ludzkość na łąkach zbrodni ścina tylko kwiaty czerwone od przelanej krwi; korzeni nie dotyka: to też o bezkwiatowe, zielone badyle ranimy się, jak o stalowe rżyska.

[Str. 98]

Nie zabiłem matki i nie zabiję jej; dzięki Bogu umarła. Ale, gdyby żyła, czyż nie zabiłbym jej?

Wszak mogę o tem myśleć, mogę ją sobie tu, pod moją siekierą, wyobrazić z rozplataną czaszką, z okrwawioną twarzą. Kto mi dowiedzie, że nie mógłbym tego uczynić, kto?

A zresztą, choć skonała we własnym łóżku, choć płakałem po niej, czyż codzień nie wypychałem je; w grób? Gdym się rodził, rozdzierałem jej wnętrzności; gdym żył, rozdzierałem jej serce. Pułkowski zabijał minutę, ja—lat 30. He razy w duszy życzyłem jej śmierci, ile razy chciałem, aby tą siekierą, której udźwignąć nie mogłem, ugodził ja ktoś z góry, szatan czy Bóg—wszystko jedno! A przecież nie kłamię jej, kochałem ją; zdawała mi się tylko, jak każdemu, raz za złą, raz za głupią, raz za starą, i chciałem ją mieć lepszą, mądrzejszą, młodszą, inną; nie chciałem je; mieć taką, jaką była, chciałem, żeby ta istniejąca, ta żywa, ta matka, żeby skonała... dla zmartwychwstania wprawdzie; lecz śmierć jest, a w zmartwychwstanie kto dziś wierzy?

[Str. 99]

Zbrodnia jest jak szczyt w chmurach: sępy na skałę lecą, a nietoperze o miękkich skrzydłach u stóp je; się kręcą, ku górze patrzą, lzy mają w oczach, a wlecieć nie mogą, więc zataczają kręgi nisko, a gdy na ziemię spadną, chowane są ze czcią. Lecz kto więcej chmury kochał, kto silniej do skały się rwał, czy sęp, który na niej siedział, czy nietoperz, który na nią wzbić się nie mógł? Ja dziś wiem, że nietoperz, że ja, że my. I pod ciężarem wiedzy tej upadam.

Zaraził mnie, zaraził nas wszystkich. Widziałem ich, kolegów przysięgłych, uśmiechniętych, zdrowych, szczęśliwych. Nie wierzę im: już jad w nich krąży; że na twarz im nie wybiegł, świadomości nie zmaćcił—cóż to znaczy; wybuchnie. Osłabiony jestem, praca mnie wycieńczyła, więc prędzej uległem; na nich też przyjdzie kolej.

Zbrodniarzem jestem, zbrodniarza też teraz rozumiem. Jeszcze wczoraj nie mogłem odgadnąć jego myśli, dręczyłem się próżnem usiłowaniem, a dziś wiem, co on czuje, z nim jestem, jego męczarnią się męcę.

[Str. 100]

On wie, że żyć będzie tydzień, że po siedmiu dniach otworzą się drzwi i kat go poprosi, żeby wyszedł z nim... na szubienicę. Może zliczyć w każdej chwili, ile mu zostaje nocy do przespania, godzin do oglądania słońca, może zliczyć, ile jeszcze razy puls uderzy, a że myśli wolno, wie, ile razy jeszcze myśleć będzie mógł. W każdej chwili powiedzieć sobie może: oto np. trzysta siedemnasta przed śmiercią myśl moja; a że nie chce kończyć, lęka się myśleć, lęka się tej następnej myśli, która już trzysta szesnastą będzie, i nie myśli. A jeśli nie myśli, nie żyje. Czy tak, czy tak umiera.

Każda sekunda, każdy krok zegara przybliża go do grobu, i chociażby z czasem całą siłą woli się borykał, ani jednej chwili nie powstrzyma. To też spadają one jednostajne, nieubłagane, zimne, wolne. Tak, bo czas mu wolno płynie. W sobie rozdziera go na niteczki tak cienkie, że wydłuża mu się stokrotnie, tysiąckrotnie, lecz jeśli niteczka taka, cienka niteczka pęknie—to jego śmierć.

Ale nie to jest straszne.

Straszne jest, że on to spадanie chwil słyszy i czuje. Każda chwila zdaje się żelaznym ciężarem, który na wieko jego trumny—spada i dzwoni. Dzwoni tak głośno, że on zatyka uszy i głowę w poduszkę chowa, ale głos ten słyszy: dzwon, dzwon, dzwon... A każdy nowy ton łączy się z echem poprzednich i biją coraz dźwięczniej, coraz silniej, aż dusza rozkołysana ich dźwiękiem drga i odrywać się poczyną. O żelazne chwile!

[Str. 101]

I czuje je. Zdarto mu skalp z głowy i na nagą kość z góry padają krople, pluszcza i zalewają mu oczy. Spadają te krople wciąż: raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy... Dłużej liczyć nie może. On szaleje, lecz umrze. Ja szaleję... a pewno żyć będę.

Myśli moje, zostańcie zemną!!

Dnia 16 maja.

Obawiam się pomieszania zmysłów. Nie mogę wyjść z pokoju, nic prawie nie jem, głowę mam rozpaloną. Zdaje mi się wciąż, że jestem z nim pod kluczem, że z nim razem przed śmiercią... konam. Żona jest niespokojna; chciałaby posłać po lekarza, lecz boi się; dobrze robi, że się boi. Przysłała mi dzieci do pokoju; wypędziłem je. Ja nie mogę, nie powinienem mieć dzieci. Dzwony w uszach dzwonią; krople spadają i pluszczą, pluszczą, pluszczą.

Głowa mi pęka. Nie sypiam. I czegoż się lękam, jeśli wiem, że nie umrę na szubienicy? czemu się dręcę, jeśli wiem, że nie zabił? Ale umrzeć mogę, zabić mogę! Chciałbym oszaleć!

[Str. 102]

Dnia 18 maja.

Nie, śmierć jest inna, straszniejsza, groźniejsza, niż dotąd pojąć mogłem. Teraz ona jest bliżej i lepiej ją widzę. I tragedia ta leży w tem, że to nie śmierć nieubłagana, ponura ku nam się zbliża; to byłaby rozkosz jeszcze. Śmierć czeka spokojna, nieruchoma, a on żywy jeszcze ku niej schodzi po szczeblach, coraz niżej. Jak grzechotnik na spętanej czarem wiewiórkę, utkwiała w nim swe oczy i stalowe sznury z oczów tych wychodzą, wiążą i ciągną ku sobie. I czuję, że żadna wola nie pomoże, że próżno szamotać się w tej pajęczynie, która zwiąże, ściśnie, ściągnie.

Choć chwilę snu!

Jutro go powieszają, a wieszanie odbędzie się tak:

Ranek. Siódma godzina dzwoniła ledwie na wieżach: śpi jeszcze, bez marzeń, bez widziadeł, słodkim, czarnym snem. Otwierają się drzwi, klucze brzęczą, zawiasy skrzypią. Budzi się, ale nie wie, nie czuje jeszcze nic. Wchodzi cały szereg ludzi, cały tłum bez końca. Prokurator, dyrektor więzienia, pisarz, ksiądz, stróż, żołnierze, ludzkość cała się zbiegła: jak oni się tam pomieścić mogą? On wstaje; jak przed tyloma panami nie wstać? Prokurator czyta dźwięcznym, zimnym głosem: Wyrok z dnia... zatwierdzony... wedle prawa... dziś o siódmej i pół wykonany zostanie. On słyszy doskonale; mógłby powtórzyć wszystko, choć pamięć ma nędzną—ale nie rozumie, nie wie co to ma znaczyć; wie, że się zdarzyło, że się zdarzy coś wielkiego, strasznego, nic więcej. Pytają go, czy niema jakich życzeń. Nie odpowiada. Życzenia? Pytają raz drugi. Nie odpowiada; sylabizuje po cichu: ży-cze-nia.

[Str. 103]

Wychodzą wszyscy,—nareszcie—ryglują znów drzwi. To chyba sen. Zostaje tylko ksiądz—wysoki, cienki, chudy. Bierze go za rękę, mówi coś jednostajnym, bezmyślnym głosem. Nagle on pada na łóżko, z ust wybiega mu jakieś krótkie, gardłowe chrypienie, niby śmiech, niby zdławiony ryk. Zrozumiał. I znów cisza, tylko ksiądz dalej mówi swe pociechy. Teraz on nic nie widzi, nie słyszy, rozumie tylko. Jest mu tylko ciężko w głowie, w piersiach; nawet wnętrzości mu coś ciśnie, rozpiera; rozluźnia się w nim wszystko, rozrywa. Chciałby się wyprostować, odchylić głowę, odetchnąć, krzyknąć, nie może; tak duszno, tak ciężko.

Ruszyć się nie może; żaden mięsień woli jego nie usłucha. Jest bezwładny; nawet serce bezwładnie i wolniej, trudniej się kurczy. Ciężko, duszno—tylko ksiądz wciąż mówi.

[Str. 104]

Jak długo to trwa, nie czuje. Tak się boi, tak drży, że nawet nie wie o tem; nie została mu taka cząstka świadomości, któraby na ten strach spojrzeć mogła. Czego się boi, nie wyobraża sobie. Będzie *coś*, *coś* musi być. To coś już jest.

Minęło pół godziny. Wchodzą znów ci sami, te same tłumy. »Czas iść«—mówi dozorca. Znów wstał bezwiednie. Kolana ma tak miękkie, że gną się pod nim. Ksiądz bierze go pod pachę z jednej,—dozorca więzienia z drugiej strony. Podparty stoi—bezsilny, bezmyślny, prawie martwy. Takiego trupa nie można wlec. Dyrektor każe podać napój wzmacniający. Czekają wszyscy, milczą.

Sługa więzienny wnosi napój: mocny arak, gorący, z korzeniami. Nie pije. Nie wie, czego od niego chcą. Sługa bierze kieliszek i wlewa mu do ust. Nie wypluwa, połyka—wszyscy czekają i milczą.

Mija chwila; wódka działa; zmysły zaczynają żyć; przedtem był ślepy i głuchy, teraz widzi i słyszy, jaskrawo, dobitnie; może się poruszyć.

Dyrektor komenderuje znów: »Iść«. Wychodzą: naprzód prokurator, potem dozorca, potem on między księdzem a sługą, potem 12 żołnierzy z obnażonymi szablami. On idzie wprawdzie; stąpa, ale przewróciłby się, gdyby go wypuszczono z rąk. Idą wolno, więc ma czas przyjrzeć się wszystkiemu, a zmysły od wódki ma żywe.

[Str. 105]

Korytarz długi, trzykrotnie zagięty, jasny, tak jasny mu się zdaje. Okienka są małe, ale dzień jest letni, słoneczny, i na przeciwległej ścianie okna występują jak złote plamy. Bawią go te świeciste plamy, które z oknem drgający pył łączy; cieszy się, że przez te pyty iskrzące przechodzić musi. Obejrzałby się za siebie, gdyby więcej miał życia w karku... i gdyby nie wiedział, że ten korytarz nie ma końca, bo nie wierzy, żeby się ta droga kiedy przerwać mogła: tak bez ustanku, wciąż krążyć będą wszyscy, między temi murami, to kąpiąc się w cieniu, to nurzając znów w złotych blaskach. Idzie więc coraz śmielej i za siebie się nie ogląda, bo wie, że to wszystko jeszcze setki, tysiące razy zobaczy. Idzie na śmierć spokojnie...

Nagle wszystko się zapada, wszystko tonie w szumiących jasnych kaskadach. Jak kamień rzucony w wodę, opada ku dnu w głąb fal. Dobrze, że z tyłu podbiega dozorca i chwyta go za rękę, bo ksiądz i posługacz nie unieśliby nagłego ciężaru. Korytarz się skończył: są u wrót podwórza.

Podwórze jest uśmiechnięte, jasne, wesołe. Słońce obryzgało światłem mur sąsiedniego domu i wapno bieli się tam i błyszczy, jakby srebrne. Niebo szafirowe, lśniące. Powietrze ciepłe, świeże, wonne. W powietrzu słychać jakieś szmery z miasta, z pól, z życia.

[Str. 106]

Zatrzymują się wszyscy. On nie może jeszcze iść naprzód. Ksiądz szepce mu do ucha. On pociech jego nie słyszy. Patrzy, patrzy w niebo, potem spuszcza wzrok na mur przeciwległy. Kominy pobliskiego domu ostre cieniami odbijają się w słońcu. Te silne, ciemne linie podobają się jego oczom. Opuszcza wzrok; na prawo od muru... Ten widok mąci mu mózg; w głowie ma zawrót, zamęt, druzgotanie; mdłość go ogarnia, wymiotowałby prawie, gdyby był co jadł. To szubienica. Dwie belki, na nich poprzeczna trzecia, w poprzecznej hak, na haku długi, skręcony w pętlę rzemień. Pod szubienicą para schodków: dla niego jedno, dla kata drugie. Przy schodkach orszak katowski w odzieży czarnej, jak żałobnicy; pięciu ludzi: kat główny, który wieszają; czterech pacholków, którzy trzymają ciało, nim trupem się stanie. I to wszystko widać jasno, o trzydzieści, o dwadzieścia kroków—na tle błękitu, zielonych drzew i białego muru.

Patrzy, stoi. Wszystko mu mętnieje w oczach, szubienica zaczyna tańczyć i w podskokach ku niemu się zbliża. Nie cofa się; żaden mięsień twarzy mu nie drga, źrenice utkwione spokojnie,

[Str. 107]

tylko dusza, nawpół wyrwana z ciała, dygoce. Ktoś z obecnych powiada półgłosem, że skazaniec jest nieprzytomny. Stoi wciąż.

Niepodobna czekać i przedłużać egzekucję. Dyrektor daje znak—kilku żołnierzy się zbliża; jeden pomaga księdzu, drugi bierze za rękę, trzeci podpira z tyłu. Popychają go raczej, niż prowadzą. Początkowo daje się posuwać, jak martwy; za trzecim krokiem machinalnie podnosi nogi—przecież jeszcze żyje; idzie wolno, bardzo wolno, ale idzie. Ma tylko dwadzieścia kroków do przebycia: kto mógłby żądać, żeby się spieszyć miał?

Obserwuje każdą piędź ziemi; oczy ma spuszczone na dół. Zbyt osłabiony jest, aby źrenice ku górze podnieść. Spogląda pod siebie, widzi każde ziarnko piasku, każdą wśród kamieni trawę. Każdy krok naprzód boli go fizycznie...

Nad uchem zabrzączała mu mucha i siadła na czole; schodzi teraz od włosów ku brwiom. Swędzą go dotknięcia jej; łapek, lecz nie odpędza jej; niech chodzi—przecież są równi: ona żywa i on żywy. Za chwilę przylecą doń całe roje much i pieścić go będą skrzydełkami, a on nie będzie ich czuł, tak jak teraz tę jedną małą czuje... Te muchy będą żyły. Idzie. Nagle ci, którzy go prowadzą, stają —i on staje. Unosi trochę oczy: przed nim żółte schodki... Więc już przeszli, dwadzieścia kroków przeszli! To nie może być, szubienicę przysunięto! Wrócić, wrócić! Chce obejrzeć się za siebie, brak mu sił, aby wykręcić ciało, pochyła się więc tylko trochę, i ciężej na żołnierzu opiera. Podchodzi kat z pachołkami: on teraz do nich należy; żołnierze czynność swą skończyli...

[Str. 108]

Dwaj pachołkowie stają po bokach schodków; dwaj biorą go pod pachy, wchodzą na pierwszy stopień i jego tam wciągają. Na szczeblu tym ocknął się: dotąd był równy wśród równych—wszyscy szli, pełzali po ziemi; teraz on o głowę wyższy od nich. Dotąd, gdzieś w duszy, pod duszą, głęboko było coś, niby nadzieja, że ta śmierć nie przyjdzie, że zerwie się jakiś huragan, wichry, gromy i deszcze rozbiją, rozsypią, rozniosą więzienie, ziemię, świat... Niebo szafirowe, powietrze ciepłe, słońce złote, tak blisko nad głową, że gdyby podniósł rękę, umaczałby palce w promieniach. To śmierć przysła.

Z sąsiednich schodków kat mówi cicho: *schneller!*—Wnoszą go na następny szczebel. Stał jakaś ściska mu mózg i trzewia. Czczosć go mdli, czkawka wstrząsa mu gardło. *Schneller!* Są na szczycie. Kat bierze pętlę, próbuje w rękę, zakłada mu na szyję, poprawia węzeł z tyłu, wprost na kręgi. Ścisnął, rzemień dotknął skóry. Rzemień zimny, tak zimny, że go parzy. Dotknięcie pętli wyrwa mu duszę. Dusza szaleje z lęku: tłucze w ściany czaszki, rani skrzydła swoje, zrozpaczona upada i znów zrywa się, jak przerażony ptak i wali w czaszkę nieprzytomna, wściekła...

[Str. 109]

Fertig! Pachołkowie zeskakują z schodków i wytrącają mu je z pod nóg. Opada pół łokcia niżej. Naprzód brak powietrza, usta otwierają się szeroko i drgają, oczy wyskakują z orbit; potem lubieżny dreszcz—węzeł ruszył rdzenia—naga halucynacja przed nim, potem trzask, jakby świat się zwałił, tuż pod uchem, pod mózgiem: czaszka pęka, wszystko się rozkrusza, węzeł lamie kręgi —i potem nic, nic... drgawki. Kat jedną ręką oparł mu się na ramionach, drugą zakrył mu usta; pachołkowie trzymają ręce i nogi; nie łatwo utrzymać, bo kurcze miotają ciałem silnie. Wreszcie kurcze słabną, można puścić. Wisi prawie nieruchomy. Skończone.

Widzowie rozchodzą się do swych zajęć; prokurator do sądu, żołnierze do koszar, dozorca do biura. Wszyscy z tym widokiem w oczach będą żyć, jeść, pić, całować, mordować.

Trup zostaje na szubienicy sam; grzebać wolno dopiero po sześciu godzinach. Nie... nie sarn, bo słońce wtargnęło wyżej; na niebo i z za muru zagląda mu ciekawie w twarz. Słońce, bezmyślne słońce, wszystkim równie jasne, patrzy oko w oko sprawiedliwości ludzkiej, promienne, obojętne, pogardliwe.

[Str. 110]

To jest wieszanie. Światu się zdaje, że jednego dostał trupa, a przecież posiał śmierć w dziesiątkach ludzi. Aby ukarać jednego zbrodniarza—dziesięciu, stu mniejszych stworzył. Ci wszyscy, którzy jutro na to patrzeć będą, czy zapomną? Zagłuszą! ale nie zapomną! Ścisnąć będzie który pierś, szyję kochanki, pieścić dzieci swoje—i nagle jak rekin, wynurzy żarłoczną paszczę ten obraz: otwarte usta, łaknące powietrza, wysadzone przeraźliwie źrenice—i szepnie: mocniej całuj, silniej ściśnij. I ręka bezwiedna, nieubłagana posłucha, ulegnie, ściśnie i zadławi. Ten widok tam u tych ludzi, żywy w mózgu—to Moloch, który zażądać kiedyś może i zażąda swe; krwawe; ofiary.

A kat, pięciu katów? Ja, matkobójca, gdym dobijał swego chorego, martwego psa, drżałem i płakałem. A oni zabijają człowieka spokojnie, fachowo, trzymają mu ręce, zatykają mu usta. Kat wraca do domu z odcisniętymi na dłoni zębami skazańca! Te fioletowe plamy w ręce się nie wryją, znikną. Biedna lady Macbeth! Myśli, które się w ich mózgach kojarzą, muszą się o siebie zaczepiać jak rzemień o hak, jak pętlica o szyję. Myślenie tych ludzi, to syllogizmy z szubienic, stryczków, trupów. I zbrodniarzy tych, zbrodniarzy płatnych, stwarza sobie społeczeństwo przez mój wyrok, przezemnie. To los mój, konieczność. Ślad swój znaczący muszę trupami, których nikt nie dojrzy, nie pomści. A ja się tych niewidzialnych trupów tak lękam; lękam się, że staną kiedyś w urocznej godzinie te białe upiory, widome oczom wszystkich i zduszą mnie, wołając: »tyś nasz morderca!« Jam ich morderca!

[Str. 111]

Dnia 19 maja, wieczorem.

Ocalę Pułkowskiego, ocalę wszystkich, odmienię wyrok, własną bronią pobiję tych, co go wydali.

Bo przecież oszukano nas, przysięgłych, oszukano haniebnie. Jak mogłem odrazu tego nie spostrzedz!

My, sąd, skazaliśmy go na śmierć, lecz nie na umieranie. Kazaliśmy mu nie istnieć, nie kazaliśmy mu przestać być. Niech go nie będzie, lecz niechaj nie znika. Śmierć, nieistnienie, jak wielkość ujemna jest też rodzajem bytu, ujemnem życiem—tylko zero, przejście, zgon jest niczem, przerażającym niczem. A przecież katowska kara, którą jutro spełnić miano, jest tylko umieraniem, męczarnią. Tego w wyroku naszym nie było. Niech geniusz ludzki znajdzie środek; niech go wtrąca w grób, tak, aby ani jednej chwili nie umierał, zgoda! Trzeba tłumaczyć wyrok dobrze i wykonać go ściśle. Niech szukają sposobu, niech wypłaczą się z sideł, które obłudnie na nas zastawili!

[Str. 112]

Biegnę do sądu.

.....
.....

Wyśmiano mnie. Ha! ha! ha! ha!

Dnia 1 czerwca.

Powracam do zdrowia. W nocy, przed tym dniem, kiedy go powieszono, dostałem gwałtownej gorączki. Majaczyłem, byłem cały tydzień nieprzytomny. Żona mi mówi, że krzychał wciąż: »nie dajcie mnie powiesić«; podarłem wszystkie koszule, każde dotknięcie do szyi wprawiało mnie w szał. Musiano mnie posadzić na niskim fotelu, ubrania i kołdry podwiązano mi pod ramionami. Lekarz sądził, że umrę; nie umiał mnie leczyć, bo takiej choroby jeszcze nie widział. Przeżyłem. Będę zdrow, bo tylko dusza we mnie umarła, nie cała. Zostało mi jej właśnie tyle, ile trzeba, by wolno, zdrowo dojść do grobu. I tym ułamkiem będę musiał wystarczyć sobie i... światu. Bo społeczeństwo ma swoje wymagania; jestem zdrow, mam żonę i dzieci, obowiązki. Muszę dzieci chować, z żoną żyć, z ludźmi handlować, myśleć, działać. Zabijałem matkę, lecz bez przelewu krwi—nikt, nawet Bóg mnie za to nie ukarze: zabiłem Pułkowskiego w sądzie—wszyscy mnie za to pochwalą. Kodeks milczy i serca moich bliźnich milczą. Nie jestem więc w więzieniu. A że ten okrucuch duszy zdrowej, który mi pozostał, nie wypłatał się z kajdan i idzie drogą innych—nie jestem szaleńcem. Gdybym oszalał był, gdyby świadomość w tych mękach zatoneła, byłbym wolny, chociażby... w szpitalu; dzisiaj w domu, na ulicach miasta jestem niewolnikiem... nawet logiki własnych myśli. I muszę drzeć, kiedy dotykam żony lub całuję dzieci, abym ich niewinnie nie zadusił, muszę się bać każdego swego czynu, bo może być sprawiedliwy, a ja wiem teraz, że sprawiedliwość jest większą zbrodnią, aniżeli mord.

[Str. 113]

Jak będę żył?...

SPOTKANIE.

[Str. 115]

Spotkanie.

[Str. 117]

Nieraz czuje się nieprzewartą potrzebę, prawie żądzę pograć się w błocie, duszą i ciałem wykapać w brudzie..., aby potem czystszy podnieść się z upadku. Na dnie tej dziwnej kuracji leży brutalne zadowolenie egoizmu, ogłuszenie czasem budzącej się samokrytyki widokiem istot bardziej upadłych, bardziej podłych.—Zkąd nagle rodzi się to głębokie niezadowolenie z siebie, które kładłoby nam rewolwery w ręce, gdyby nie zawsze gotowe ujście do rozpusty? Zdaje mi się, że ani mię kto obraził i nicość moją wykazał, ani nie zrobiłem nic takiego, czegobym się wstydzić potrzebował, a jednak... niezadowolony jestem z siebie, i chciałbym się siebie pozbyć lub zapomnieć. Lada drobnostka, lada błahe zdarzenie może być szczeliną duszy, kędy, jak z wulkanu, wychodzi dym, zwykle tłumiony w głębi.

Przyszło na mnie to pęknięcie duszy, tak »bez powodu«, w słotnym październiku, kiedy bez ustanku spadające krople roztopiały, zda się, mury domów i mózgi ludzi. Wiatr wył po ulicach, zrzucił czapki i płaszcze, podnosił suknie i zrywał szmaty zawsze tam, gdzie na ciele rana była, lub obrzydliwość jaka. I zdawało mi się, że październik ten nie będzie miał końca—tak dawno zaczęły się niepogody—że stanął bieg czasu i chwila ostatnia zastanie nas w tym samym październiku, tego samego dnia. Obrzydł mi spokój i komfort domu, ładnie umebłowany gabinet, zarzucony stos bezmyślnych książek, obrzydło mi życie codzienne, obrzydła mi nawet żona, stworzenie ładne i dobre: raz sądziłem się jej niegodnym, i dąsałem na nią, że podchodziła do mnie z pieszczotami, to znów upatrywałem w niej wszystkie wady i twierdziłem w sobie, że mię unieszczęśliwiła.

[Str. 118]

Lecz to wszystko znieść jeszcze można. Najbardziej było mi męczącym, że dwie pęknięte moje połowy jakby się całkiem rozdzieliły i stały się sobie i obce i wrogie. Wszystko co robiłem, wydawało mi się, jakby robionem przez kogoś innego. Krytkowałem wszystkie czyny swoje, i widziałem, że były bezmyślne i podłe. Z ironią mówiłem do siebie: patrz, to ty zrobiłeś. I ten

ironiczny śmiech powtarzał się wciąż, na każdym kroku.

Wyszedłem późnym wieczorem z domu, i pomęczony trochę po ulicach wstąpiłem do knajpy. Rozejrzałem się po sali: zastałem kilku znajomych, dawnych kolegów, nieżonatych jeszcze, więc korzystali z pełni swobody. Zwykle towarzystwo ich nie sprawiało mi przyjemności, unikałem ich nawet, mając za ludzi głupich i nie wiele wartych. Wtedy jednak kontent byłem, że ich widzę i zbliżyłem się do nich. Przywitani mnie okrzykami: »Oho, nasz żonkoś, co to? Z domu ucieka« i t. p. Nie pamiętam, ale zdaje mi się, że pozwolili sobie kilku docinków dla mojej żony, za które zwykle bym wypoliczkował; wtedy jednak znosiłem spokojnie... sam się śmiałem. Kazaliśmy podać wódki, potem piwa, potem znów wódki, potem likieru, i tak siedziałem w nocy, słuchając banalnych dowcipów i starych plotek, którymi dawno niewidzianego przyjaciela raczyli. Była już późna noc.

[Str. 119]

—Pojedziesz, zapytał jeden drugiego.

—Jeżeli chcesz... nie idę jutro do biura, to można się wysypiać.

—To pojedziemy. Jak się bawić, to porządnie.

—Dokąd pojedziecie, zapytałem obu.

—Eh! Niby to można, odpowiedział twórca projektu, przy żonkosiu—żonkosiem stale mnie nazywali—o tem mówić, jeszcze się pogniewa i obrazi.

—Ależ mówcie, cóż to szkodzi, rzekłem trochę zirytowany.

—Żonkoś pewnie nawet nie wie, co to jest.

[Str. 120]

—Mówcież, bo się pogniewam, u furgonów mil beczek—miałem dobrze w głowie.

—Powiedzieć mu? zapytali jeden drugiego jednocześnie.

—Mów; i jeden nachylił mi się do ucha i zaczął szeptem: »pojedziemy do ... Loli. »Loli« wrzasnął prawie na całe gardło.

Spojrzeni na mnie, jakby ciekawi wrażenia, jakie to na mnie wywrze. Przeszedłem ich oczekiwania.

—Pojadę z wami, rzekłem.

Była chwila zdziwienia; i za kawalerskich czasów chodziłem tam rzadko. Wnet posypały się zmieszane okrzyki radości i wybuchy śmiechu tem głośniejsze, że dwie butelki wódki były próżne, a piwo poodnosił już kelner, bo inaczej cały stół byłby zastawiony.

—Brawo! Dzielny chłop! To mi zabawa: zawieziemy żonkosia zdrającę. Zapoznamy go z Lolą. Daj buzi! Jak Boga Kocham, nie zbabia!...

Pocałowaliśmy się.

Wyszliśmy z restauracji, bo już nas przepaszano, że zakład zamykać muszą. Dorożka była tuż zaraz. Pojechaliśmy, ściskając się i całując z rozczulenia przez całą drogę.

Na miejscu nie zastaliśmy wiele osób. Było dość późno i dzień powszedni: pięć czy sześć dziewcząt, porozkładanych na fotelach w jaskrawych kostymach i paru mężczyzn. Stary, siwy jegomość umawiał się z jedną w kącie sali; jakiś bezwąsy młokos leżał wyciągnięty na fotelu: oczy szklane, bez wyrazu utkwione w jeden punkt sufitu, mówiły, że mu już nic do szczęścia na ziemi nie brakuje. Był jeszcze trzeci mężczyzna oprócz nas—siedział na kanapie, tyłem zwrócony do mnie. Nie widziałem jego twarzy, uderzyła mnie tylko wysoka postawa i bujne kuczne włosy, które, niestrzyżone widać dawno, spadały mu na szyję. Ubranie na nim było obdarte i brudne. Przyciskał na kolanach siedzącą wątłą, szczupłą blondynkę i mówił jej; coś, co jak mi się zdawało, nie zawsze i nie każdego w takim miejscu mówi. Moi towarzysze przywitani się z nim; podał im rękę obojętnie i nie przeszkadzał sobie w rozmowie. Zapytałem ich, kto to taki.

[Str. 121]

—Widać, że tu nie bywasz; toć to stały gość, niejaki Rysiński, literat podobno i adwokat.

—Co? Rysiński, Jerzy, zawołałem i spojrzałem raz jeszcze uważnie na tego, który mi się dotąd nieznanym wydawał.

Tak, to on! Jak mogłem go nie poznać! Wszak to jego wzrost i zarost i twarz nieprawidłowa, powykręcana, a jednak prawie piękna, i te usta ogromne, czerwone, jakby rozkazujące kiedy mówić zaczynały. Nie widziałem go lat tyle, a jednak niema najmniejszej wątpliwości—to on.

[Str. 122]

Podszedłem ku niemu, i kładąc mu rękę na ramię, zawołałem po imieniu. Obejrzał się na mnie, trochę zły na intruza, który mu przeszkadzał; nie poznał mnie. Rzeczywiście, zmieniłem się znacznie od chwili ukończenia gimnazjum.

Przedstawiłem się.

Wstał i patrząc wciąż na mnie, silnie, dwukrotnie uściśnął mi rękę. Teraz, gdy widziałem go przed sobą, twarzą w twarz, poznałem go jeszcze lepiej. Rzeczywiście, mało się zmienił, tylko zarost miał bujniejszy i we włosach nad skronią—czego nie mogłem dostrzec z tyłu—przeświecała gdzieś dość gęsta siwizna.

To on! Mój dawny antagonistą ze szkolnych czasów, któryby zawsze w niwecz obrócił pracowitość mych domowych godzin, gdyby nie sprawowanie. Zawsze z nauczycielami miał zatargi, a gdy się

uniósł, na słowa nie zważał, więc mu ledwie tylko dostateczny stopień ze sprawowania dawano. Ileż razy chciano go wydalic! Ocalił go tylko nasz filolog—ważna figura w gimnazjum—który dyrektora upewniał, że czterdzieści lat uczy, a nie spotkał ucznia, któryby tak łacinę i grekę pojmował. I w historyku miał przyjaciela, bo ten lubił, gdy mu kto obszernie lekcję wydawał, a Jerzy miał zawsze jakieś swoje fakty i poglądy, o które się spierali.

Po ukończeniu gimnazjum, rozeszliśmy się. Studiowałem zagranicą, podróżowałem, długi czas mieszkałem na prowincyi; co się z nim działo, słyszałem tylko urywkami. Z trudem przeszedł przez wydział prawny, został adwokatem, gwałtowną mową w jakimś skandalicznym procesie zyskał sobie imię i wziętość. Pisał trochę; parę utworów jego czytałem; były może nie tyle piękne, ale tak osobliwe i niezwykle, jakich dotąd u nas nie spotykałem. Nawet urzędowa krytyka chwaliła go, choć nie zbyt chętnie. Lecz wszystko to były wspomnienia dawne. Od pięciu, sześciu lat straciłem go całkiem z oczu. Nikt prawie nie wiedział, co robi i gdzie się obraca.

[Str. 123]

I oto spotkałem go tam...

—Tyle lat, co za szczególny traf. Ale mówże, co się z tobą dzieje. Od nikogo wiadomości o tobie dostać nie można.

—Udzieli ci ich nawet szwajcar z przed bramy.

—Wiesz, nie przychodziło mi na myśl tu się o ciebie dopytywać.

—Tak, zawsze unikaliście tego, co z pierwszej ręki płynie.

Rozmowa nasza była co najmniej dziwną. Stałem też zmieszany prawie, nie wiedząc, czy się zegnąć, czy dalej rozmawiać.

—Ale czegoż stoisz, siadaj.

Schwycił mię za rękę, aby przy sobie posadzić. Po gwałtownem, nieelastycznym szarpnięciu poznałem, że musiał być pić dosyć.

[Str. 124]

—Albo po co tu, gdzie te małpy na nas patrzą. Weź klucz—zwrócił się do dziewczyny—i chodź z nami na górę, tylko każ przynieść piwa.

Zrozumiałem, że początek naszej rozmowy nie zdradzał wcale osobliwej ku mnie antypatii. Ta szorstkość, prawie gburowatość, stała się zapewne jego manierą w stosunkach towarzyskich.

Dziewczyna wstała, aby spełnić polecenie. Zobaczyłem teraz, że była ubrana w półkrótki kostyum. Nogi w czarnych ażurowych pończochach delikatnymi liniami zarysowały się po kolana.

—Ładna, rzekłem odprowadzając ją wilgotnym wzrokiem.

—Ładna; ale co tam, zdechnie ta, to będzie inna.

Poszliśmy za dziewczyną. Z towarzyszami moimi nie pożegnałem się nawet. Od nowych wrażeń zaczynałem już trzeźwieć, towarzystwo ich znów stawało mi się wstrętne. Byłem kontent, że przy kuflach o mnie zapomnieli.

Po chwili siedzieliśmy troje w jednym z tych małych pokojów na trzecim piętrze, jak zawsze w takich domach. Przed nami na stole paliła się lampa, naokoło obstawiona butelkami, które wniósł posługacz. Za wychodzącym nasza gospodyni zamknęła drzwi na klucz. Potem zdjęła stanik i chciała odwiązywać spódnice; gotowała się widać na zabawę. Jerzy przerwał jej i podchodzącą ku nam podniósł w górę, i nieruchomą, zduszoną posadził sobie na kolanach. Piwo było w naszych trzech szklankach.

[Str. 125]

—A ty ciągle to samo; pisujesz do dzienników?

—Tak, jestem współredaktorem Przeglądu;

—Cóż? Podobają ci się twoje artykuły, co?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

—Przecież mój drogi, nie są gorsze ...

—Tak, tak, ale pocóż je pisać? Niby nie wiesz, co się robi z zeszytygodniową gazetą. Więc ty nie wstydzisz się pisać po to, aby inni... Wybuchnął głośnym pijackim śmiechem.

—Przyznam ci się...

—Tak, tak, przerwał spieszniej, niewłaściwe żarty; obraź się, obraziło się już tyłu; dlaczego ty masz być wyjątkiem? Tak, obrażać ci się wolno, tylko nie wolno ci udawać, że wiesz, poco pracujesz. Ot, jak stare konie w kieracie, jeden za drugim ślepy, zawsze w kółko obraca swe jarzmo i powiada: pracuję dla ludzkości, dla kraju, dla rodziny... Kłamstwa, kłamstwa!

Rysiński milczał chwilę, patrząc bez wyrazu przed siebie, jak gdyby szukał słów, które oddawna miał w pogotowiu, tylko gdzieś nagle ich zapomniał.

[Str. 126]

—Rozgłos, pieniądze, nic, błahostka, choćby chęć droższej kolacyi, to was pcha da roboty. Praca dla innych, altruizm, ha, ha! Człowiek, któryby chciał być altruistą, musiałby od tego zacząć, żeby przestał istnieć. Spróbuj pracować, gdyby każde słowo prawdy—tej prawdy, która wiesz, że nie istnieje—miało cię kosztować jedną ranę. Co? Pracowałbyś? Ale dla was to waryackie myśli; wy

macie swoje teorie, zgodności społeczne: jednostka i ogół, egoizm i altruizm, wszystko się ze sobą godzi, jednego mniej, drugiego więcej, a zawsze jakieś ciasto wyjdzie. Istne z was centaury. Głowy kawałek w was ludzkiej, lub małpiej, lecz reszta nawet nie końska, ale świńska. I wy się macie za ludzi, za całych ludzi, kiedy zręczny nóż tak zawsze wykroić was może, że wam człowieka wytnie, a zwierzę na cztery wiatry świata puści!.. Ale krótki macie wzrok, nie widzicie własnych racic. Dla kawałka ludzkiej głowy brać się za człowieka, to zabawne! Zaśmiał się serdecznie.

—Może swoje postępowanie wystawiasz za wzór ludzkiego życia, odparłem trochę zirytowany.

Rozmowa po tylu latach niewidzenia nie była zbyt serdeczną.

[Str. 127]

—Co, ty myślisz, że po ludzku żyć to wygrzewać się w pielusze waszej moralności. Świetna ta stara bajka o lisie, któremu ogon odcięto: obowiązki, przepisy ma ten, kto nie ma sił. Wybyście wszyscy tutaj przyszli, nie wychodzilibyście ztąd, i z gorszych jeszcze nor, gdyby wam sił starczyło. Przyjdą, popatrzą, i spluną, jak lis na zielone winogrona. Przychodź tygodniami, tak jak ja, a zobaczymy, czy będziesz tak wyglądał.

Rysiński był znanym w szkole siłaczem i pomimo zmęczonych oczu i cery, widać było, że mięśni swych nie stracił.

—Tak, ale dla was to niepotrzebne, wy używacie zawsze umiarkowanie, po ludzku. Trochę prostytutki, trochę małżeństwa, wszystko w takiej samej miksturze, jaką wy jesteście. Gardło mi zaschło.

Wypił duszkiem szklanekę piwa i pochylił się w tył na fotelu. Ruch ten rozbudził dziewczynę, która znudzona rozmową, zasnęła mu była na kolanach. Jak nieprzytomna otworzyła oczy, ziewnęła, ale wnet przyszła do siebie.

—Pójdę spać, rzekła do Jerzego.

—Dobrze, odpowiedział jej krótko.

Dziewczyna wstała, podeszła do łóżka, obojętnie zrzuciła spódnice, zdjęła pończochy; położyła się pół naga na kołdrze. Po chwili miarowy, głośny oddech dał nam poznać, że zasnęła. Milczeliśmy w tej ciężkiej ciszy, przepełnionej zapachami perfum i ciała.

[Str. 128]

Otrzeźwiałem był zupełnie. Dziwna, gwałtowna tęsknota za żoną, za tak nikczemnie poniewieranem domowym ogniskiem mnie opanowała. Obrzydzenie do wszystkiego, co mię otaczało, rosło z każdą chwilą.

—Żał mi cię, Jerzy. Twoje życie wystarczy ci na miesiąc, na rok...

—Starczyło już na pięć lat.

—Wszystko jedno, ale co później? Co będzie, gdy się ockniesz z swego zaślepienia, bo inaczej przecież zdań twoich nazwać nie można? Gdyby tylko już o zmysłach mówić, co za przyjemność żyć z taką dziewczyną, która dziś z tobą, jutro z innym, a zawsze z obcym? Czyż nie mógłbyś nawet znaleźć większego upojenia zmysłów z żoną, kochanką? Marnować, młodość na taką szarą, powszednią rozpustę...

—I ja tak dawniej myślałem: nie odrazu przecież tu przyszedłem. Raz chciałem się żenić, a kochanek miałem kilka. Ale to złudzenie. Westchnienia, zachwyty, oczekiwania, po co to? na co? Aby skończyć na tym samym, zawsze niezmiennym końcu? I ty przecież czasem, widzisz, że to wszystko blaga. Są kobiety, które tu nie były i nie będą, nie ma żadnej, która by tu być nie mogła. Tu nie ma fałszu, tu kobieta jest naga i życie nagie. A ja za tą nagością szaleję! Ja się w waszych kołnierzach i kaftanach duszę!

[Str. 129]

Słowa te wykrzyczał prawie. Był pijany tem upojeniem, które do mózgu bije i nadmiernem pobudzeniem myśli i ruchów się objawia.

Milczałem. Cóż miałem mówić?

—Mówią, że ja się marnuję, że gubię karierę swą i sławę. Ja się chcę zmarnować! Ja nie chcę, jak wy bezsilni, kłamać sobie i jakąś umocowaną cegielką się pysznić. Jestem dumny, że mogę być czemś, a będę niczem, ale nie takim podłym, jak wy. Ty tego nie rozumiesz. Ja tu siedząc jestem jak wielki pan, bogacz bez granic, który za każdy kęs chleba płaci garścią złota. Inni tu zostawiają ruble, ja siebie całego po kawałku. I ta świadomość to jest moja duma. Ja nie będę, jak podły parweniusz, szczycił się tem, com zbudował i co stoi nieudolne, zlepione, nikczemne. Chłubić się można tylko z niespełnionych czynów. A to by było mówi, że ja nie mam ambicyi!.. Żeby mieć ich ambicyę, jestem zbyt ambitny. Ja nie mogę, jak zwierzę, pracować bez celu. Ja się zmarnuję, jak oni mówią, ale się zmarnować chcę, chcę!

To »chcę« wrzasnął i wypił duszkiem zwietrzałą już szklanekę piwa. Przestał mówić, i jakby ciężki nagle od wypitych trunków osunął się głębiej na fotelu, milcząc.

Wstałem. Szarzało już. Niebo, zaciągnięte chmurami, zkąd pruszył drobniutki deszcz, zdawało się dalszym ciągiem czarnych dachów. Dziwna, że pomimo swej ciemnej szarości, promieniało jakimś smutnym grobowo-zimnym świtem. Pokój w tem oświetleniu, które kłóciło się z złotem światłem lampy, jeszcze ohydniejszym mi się wydawał. Rozróżnić już można było i tapety, odpadające od wilgotnych ścian, i puder, pościerany na pięknej może niegdyś twarzy dziewczyny. Czuję, że powinienem, że muszę iść do domu.

[Str. 130]

—Żegnam cię—powiedziałem, podając rękę Jerzemu. Zajdź do mnie. Mieszkam na Senatorskie; pod dwudziestym drugim. Chciałbym cię w innej chwili widzieć.

—Po co? Nie chodzę nigdzie, nie bywam nigdzie. Ja nie mogę bywać w porządnym domu.— Zaśmiał się ironicznie.—Bądź zdrów!

Wyszedłem. Na schodach słyszałem, jak wołał: Franka! Franka! Widocznie budził uśpioną dziewczynę.

Chcąc dostać się do bramy, musiałem przejść przez salę. Na szczęście kompanionów moich już nie było. Zadowolony, że będę mógł wrócić sam, bez ich głupiego szwargotu, znalazłem się na ulicy. Przejmujący, cienki, zimny deszcz orzeźwił mię z resztek trunku i niezdrowych zapachów. Gardząc ofertami usługowych dorożkarzy, szedłem wolno, wdychając wilgotne powietrze najpierwszego ranka. Z tym dniem wschodzącym czułem jakąś błogość miłą, jaką odczuwa podróżny, gdy z dalekiej drogi wraca w rodzinne, ciepłe strony. Może tam, na samym spodzie tej błogości była zadowolona duma, że oto ten rywal dawny ustąpił z placu, że ze mnie, com mu się czasem i na drugiego ucznia nie dochrapał, dziś redaktor i pisarz, człowiek ceniony i zacny; a on co? Wielkie zdolności, żalowane trochę, ale zawsze zapomniane, nieuczczone. A zresztą, kto tam wie, z temi zdolnościami! W tej trudnej sprawie nieocenionych lub niedoszłych geniuszów, najlepsza może ta surowa, lecz krótka zasada: co nie jest, nie mogło być.

Czułem coraz większe zadowolenie, im więcej zbliżałem się do domu. Błoto na ulicy zaczynało mi już trochę dokuczać. Jak dobrze będzie rozebrać się w ciepłym pokoju, zrzucić zmoczone suknie i wyciągnąć się w wygodnym łóżku, gdzie obok na stoliku przyszykowano mi już zapewne szklanekę lemoniady i moje ulubione papierosy!... Po chwili byłem u siebie. Dla ostrożności, aby żony nie obudzić, buty zdjąłem w przedpokoju i po cichu na palcach wszedłem do sypialni. Mała lampka nocna dostatecznie pokój oświetlała. Zbliżyłem się do łóżek; żona spała. Długie opuszczone rzęsy nadawały uśpionej twarzy wyraz rozkosznego skupienia. Już dawno nie wydała mi się tak piękną. Umyślnie rozbierałem się jak najciszej. Położywszy się już obracałem się ku niej, aby zasnąć mając tę śliczną twarz przed oczami, gdy wtem na głos prawie wybiegła mi na usta myśl, której na pozór w duszy mej nie było i nie wiem, z kąd się wzięła: *Das Laster ist doch schön...*

W PEŁNEM SŁOŃCU.

(SIELANKA).

W pełnem słońcu.

—Jakaś ty śliczna, jaka śliczna, śliczna—powtarzał prawie bezwiednie, wpatrzony w jej twarzyczkę zgrabną, w oczy żywe i radosne, w usta drobne, pulchne, jakby uśmiechów pełne i pieśczoły. Tyle razy spotykał ją tutaj i za każdym razem odnosił to wrażenie, że ona nie jest właściwie piękna, ani nawet może ładna, ale właśnie śliczna: tak jakoś dziwnie zestrojona z tą przyrodą, która ich otaczała, tak jasna, jak jasnym jest światło, i tak uśmiechnięta, jak uśmiecha się błękit, i tak nęcąca, jak nęci sina dal przezroczej przestrzeni, i tak nieprzepracie pociągająca, jak ciągnie zieleń lasów i szmer strumieni. Chwilami wierzyć mu się nie chciało, że przyszła tu z domu, a nie wyrosła, jak kwiat, na polu.

Objął ją wpół i szybkimi pocałunkami obsypywał jej oczy, skronie, włosy ciemnozłote, jedwabiste, miękkie. Głowę położyła mu na ramieniu, zmrużyła oczy, oparła się na nim cała, bezwładnie zdawała się roztopiać pod pieśczołą całunków i słońca. Dreszcz po niej przebiegł.

—Dosyć, dosyć... chodźmy.

Nie odrazu jej usłuchał. Oderwał się wreszcie.

Wzięli się za ręce i, nie mówiąc do siebie nic, poszli.

Szli miedzą.

Złotozielony owies ścielił się im do stóp; chabry błękitne, białe rumianki, kąkole krwiste wychylały się ku nim. Nieopodal, na wzgórzu jasnyniebieski łan lnu kołysał się lekko, jakby rzucony na trawę szmat nieba i jeszcze drżący. A dalej znów lśniła w słońcu jasna zieleń dojrzewających zbóż, gdzieniegdzie prawie czarne wystrzelały z ziemi jodły wysmukłe; na krańcu, jak gęsty cień, ułożyły się góry. Lekka mgła srebrzysta wieszła się na skałach, a niżej w świetliste zasłony przystrajała ciemne plamy lasów, łagodziła ostrość załamów, a nie odbierała światła. Jasność ogromna, szczęśliwa, słoneczna unosiła się w błękitnym powietrzu, trącała rozłogi pól, i lasy i skały, i odbita wracała znów w przestrzeń, jaśniejsza.

Była cisza. Wiatr zasnął i nie ocierał już z szumem skrzydeł swych o trawy. Kiście mietlicy nie uderzały o siebie, i nawet lekkie drżączki stały nieruchome. Tylko dwa białe motyle okręciły się kilka razy w gonitwie, lecz jakby zmęczone nagle i ciężkie spadły cicho na jeden kwiat chabrowy. Tylko z dali, z dali dobiegał szum potoku, radosny zgiełk fali, skaczącej po kamieniach, tak jednostajny, że nikt nie wnet dla ucha i zdawał się jednym z tonów wielkie; ciszy.

Z kwiatów i ziół, z ziemi rozgrzanej i zbóż buchał odurzający miodowy zapach południa. Z najtajniejszych soków żywych upał wydobył wonie mocne i ciepłe. Pachniało życie w powietrzu... i chęć życia.

Gdy szli tą miedzą, zdawało się im, że doprawdy tyle tylko jest świata, ile wzrok ogarnie, i tyle szczęścia, ile jest w tej chwili.

Miedza się skończyła; wyszli na większą drożynkę wśród łąki. Zatrzymali się mimowolnie i spojrzeli na siebie. Rozmarzył ich żar. Opasał ją nagle rękami, przycisnął ku sobie i przytulił, jak dziecko. Czuł przy sobie jej postać wiotką i miękką; przez lekkie suknie przenikało doń zbliska ciepło jej ciała. Patrzyli na siebie jeszcze. Usta ich złączyły się w pocałunku długim, głębokim. Po chwili chciała usunąć odeń głowę. Nie mógł oderwać się od niej, upajał się jej tchnieniem.

—Daj mi odetchnąć sobą, daj mi odetchnąć sobą... Pił oddech jej ust, jak woń kwiatu. Świat zakręcił mu się w oczach.

Usiedli na trawie. Nie prowadzili nigdy ze sobą rozmów długich. Wśród tej przyrody, szczęśliwi jak ona, stawali się też, jak ona, cisi. Położył się na wznak, głowę na jej kolanach. Na tle jasnego błękitu widział nad sobą owal jej twarzy i złote płoymki jej włosów. Otulało ją powietrze błękitne, rozgrzane, przenizane nitkami światła i czyniło ją samą podobną do światła. Cisnęła się do niej zieleń murawy, wszystko się ku niej chyliło miłośnie. [Str. 138]

—Śliczna ty moja—szepnął.

Uśmiech radości przeleciał po niej. Nakryła mu jednak usta dłonią. Od dotknięcia tej ręki gładkiej a drżącej, jak schwytany ptak, przebudziły mu się w krwi ogniki. Spojrzał na nią. Rumieniec ją oblał. Odwróciła od niego oczy, czuła na sobie jednak wzrok gorący, nieruchomy, chciwy.

—Nie patrz na mnie, nie patrz...

Uniósł się na rękach i schował głowę na jej piersiach; w skroniach i czole czuł dreszcz i ciepło.

Ujęła mu głowę w ręce, odsunęła od siebie nieco i patrząc prosząco, a zalotnie w oczy, powiedziała pieszczotliwie:

—Kochany mój, nie... nie, drogi.

I pocałowała go w usta.

Wstał na chwilę, wyprostował się, usiadł obok niej.

—Chodźże bliżej.

Przybliżył się. Podjęła kapelusz pilśniowy, który był rzucił na ziemię, zgmiotła go, położyła sobie pod głowę, wyciągnęła się na wznak. [Str. 139]

—Lubię patrzeć w niebo.

Mimowoli pobiegł oczami za jęk wzrokiem.

Błękit był bezchmurny, jasny i bardzo głęboki. Wzrok, wpadłszy tam, wnet uczuwał znużenie, jakgdyby jasność ta była dlań zbyt lekka i subtelna. Zaraz też nadbiegała siatka drżąca, czarna, i rozpościerała się po niebie, jakby na ratunek oczom. Lub też głębia nieba zdawała się skryształać, twardnieć i odrzucała od siebie wzrok ku ziemi, nie pozwalając mu wybiedz tam, w przestrzenie. Ale już po chwili złudzenia lazuruowy kamień nieba rzedniał, kryształ stawał się znów podobny do pary bardzo lekkiej i tak zupełnie przeźroczystej, że przez nią silny wzrok starał się dostrzedz... nieskończoności.

Położył się przy niej bez ruchu; do uszu z gęstwy traw dochodził czasem tylko trzask świerszcza lub szelest mrówek, ciągnących do gniazda ciężary.

Nieruchomość skuła mu mięśnie i uspiła na jawie krew; odbierała mu życie własne, i zespalała natomiast z życiem ziemi. Kilka mgnień zdawało mu się, że nie potrafi już sobą ruszyć—ale w dreszczach ciała czuł za to pęd ziemi, rwącej w przestworach. Zapomniał, że nie jest sam i milcząc, pogrążył się w rozkosz unicestwienia. [Str. 140]

Na powiekach uczył nagle jej palce. Zasłoniła mu oczy ręką.

—Co widzisz teraz?—zapytała go z uśmiechem w głosie.

—Krew twoją.

—Bardzo czerwona?

—O nie, różowa ledwo, jak...—Urwał.

—Jak... no... powiedz.

—Jak u ryb.—Uśmiechnął się.

Odwrócili się nagle ku sobie, nie wstając z ziemi. Na wpół rozplotły się jej włosy i na czarną pilśń, na której opartą miała głowę, ściekały, jak strumień złota pociemniałego w ogniu. Od przypiływu krwi rozпалиły się jej na licach rumieńce i usta pokraśniały żywiej. Czuł jak z pod rzęsów długich padało nań spojrzenie rozmiłowane, pieszczotliwe.

Leżąc przysunęła się ku niemu trochę, i z groźnym niby wyrzutem w oczach szepnęła: Ty, ty...

Zaczął całować jej usta, rozchylone w tym uśmiechu; zarzuciła mu ręce na szyję, tuląc ku sobie.

.....

Z łąki spędziło ich słońce. Zatoczywszy kawał kręgu, stanęło wprost nad nimi, oblało ich żarem, świeciło w oczy.

—Trzeba iść.

—Ale dokąd?—Zamyślili się oboje.

[Str. 141]

—Chyba ku potokowi: Tam cień jest napewne.

Zgodziła się odrazu.

Trudno im było wstać; osłabił ich upał. Podnieśli się jednak i poszli. Wzgórze niewysokie, lasem świerkowym porośnięte, wznosiło się przed nimi tak blisko, że wierzchołkami swych drzew sięgało połowy nieba prawie. Ku stronie gór pochylało się z wolna na równinę: urywał się las i ciągnęły zagony zielonych i złotych zbóż. Małe, do gniazd podobne, chaty, rozrzucone tu i owdzie, czerniały na skrajach lasu.

Pod wzgórzem strumień szumiał. Ścieżynka polna gubiła się wnet wśród gęstwy krzaków, którymi porastał brzeg parowu. Weszli w wilgotny cień i krętą drożyną schodząc poczuli w dół. Minęli mały laszek osiny i zbiegli już prawie pędem na polankę, nad brzeg potoku. W zamkniętej kotlinie aż huczało od kłótni fal.

Przeciwległa ściana wzgórza wyrastała teraz tuż przed nimi, prostopadle. Nie widać już było ani pól na stokach dalekich, ani chat, tylko świerków zieleń, jakby zwieszoną z nieba zasłonę ciężką. Błękit zdawał się ciemniejszym i bliższym, jakby na szczytach drzew tych się rozpostarł. Był cień, i tylko gdzieś tam przekradał się promień słoneczny, zaigrał na liściach, plamą jasną zadrział na trawach, lub przejrzał się w pianach i snopem iskier strzeliwszy, zagasnął z sykiem na dnie wód.

[Str. 142]

Strumień z za zakrętu wybiegał wartko, i w płytkim łożysku rwąc osrebrzył się cały pianą. Po warstwach łupku, równych jak schody, staczały się fale, jak kaskada srebra płynnego. A dalej; rozszerzało się nagle koryto i woda natrafiwszy na miękki grunt i piasek, wyłobowała sobie jamę głęboką. Zwalniał się tu pęd fali, a grzbiet jej nabierał barwy i błysku szmaragdów. I raz jeszcze trąciwszy o rozrzucone głązy, rozpryskały się szmaragdy, i fale tak jak wbiegły srebrne, srebrne przepadały z oczu.

Zacisnie tu było i samotnie. Świat, który zginął dla oczu, wysuwał się też mimowoli i z pamięci. Oboje odczuli odrazu tę wielką radość, że zagubili się w gąszczu takim, gdzie nikt ich nie odnajdzie, że przepadli dla wszystkich i wszystkiego, prócz dla siebie. Dopiero tu naprawdę poczuli się razem, sobie bliżcy.

W parowie, mimo cienia, upalnie było, nie upałem suchym, płomiennym, jak na łące, ale wilgotnym, ciężkim żarem dusznym.

Zbliżyli się do brzegu i po kamieniach zaczęli przechodzić przez potok—ale przejść nie mogli, gdyż droga przez głązy utworzona, urywała się w połowie, zostawiając jako ostatni kres skalistą wśród fal wysepkę. Na omszonym wilgotnym gładzie, po którym jeszcze niedawno fala się ślizgała, siedli, trzymając się w pół i cisnąc ku sobie, gdyż zewsząd potok rwący im groził. Mniemane niebezpieczeństwo, które zewsząd niby ich otaczało w potoku pół łokcia głębokim, czarowało ją i zachwycało.

[Str. 143]

—Jak tu dobrze, jak pięknie—najdroższy.

—Ubóstwiam ciebie.

Ale zgiełk monotonny jakąś zadumę smętną w niej rozkołysał, gdyż umilkła, zamyśliła się i pochyliła główkę, patrząc na piany, tańczące po fali. Na miękką linię jej ramion i szyję odsłoniętą upadł, wymknąwszy się z liści, blask słoneczny, pełen zielonawych refleksów i śniadą nieco jej płeć rozświecił tysiącem iskierek złotych. Przez migotanie tych błysków złotawych, jasnoróżowa przelśniewała krew ciepła. Patrzył z zachwytem na te plamy słoneczne, drżące barwami ognia i krwi. Ale ona zamyśliwszy się nie czuła wzroku, który z uwielbieniem po niej przebiegał. I nie odwróciła oczu. Więc przyklęknąwszy jak mógł, pochylił się, aby zajrzeć jej w twarz i spytał:

—Co tobie?

—Smutno mi, smutno.

—Czemu, jedyna?

—Czemu? Tak wszystko płynie, przechodzi, ucieka... Już sierpień...

Łza zakręciła się w jej głosie; schwyciła go za szyję i zaczęła całować po ustach, po czole, po oczach—bez pamięci. Przebiegł oboje dreszcz chłodny, jesienny, trwożny.

[Str. 144]

Nagle zabrzmiał gdzieś w górze odgłos dzwonek miedzianych—powracały stada.

Oderwała się od niego, wybuchła śmiechem i zanurzwszy dłoń w wodzie, prysnęła mu na twarz.

Wyrwali się tęsknocie.

Schwycił jej dłoń, z której ociekały krople, niby rozsypane klejnoty, i całować ją począł i pić tę wilgoć, przesyconą rozkoszą jej ciała.

—Puść mnie, puść mnie.

Zerwała się i podniosła, ale pantofelek luźno zapięty przechylił się i o wilgotny mech poślizgnął. Byłaby osunęła się w wodę, lecz zdążył ująć ją wpół i podtrzymać.

—Jakiś ty silny.

Chciał okazać swą siłę i zatrzymać w swym uścisku, lecz wysunęła mu się z rąk.

—Drogi, muszę już iść, muszę wrócić koniecznie. Dzwoniły stada—już szósta. Spostrzegą, zem wyszła.

Skoczyła na następny kamień, i znów na kamień—wreszcie wybiegła na brzeg.

—Kochany, drogi, do jutra.

Pomknęła przez gąszcz zieloną; mignęła raz i drugi jasnorożowa jej suknia.

Ledwie zdążył rzucić w ślad za nią:

—Do jutra.

PIERWSZY WIERSZ.

[Str. 145]

Pierwszy wiersz.

[Str. 147]

Kiedy po zerwaniu z Maryą minęła pierwsza, nieutulona, nieokiełzana, prawie głośna rozpacz, Jan Karski jeszcze więcej odsunął się od ludzi—i wtedy zaczął tęsknić. W oczach pobladły mu wszystkie barwy i w szarą mgłę smutku, jednostajną i miękką owinęły się dlań wszystkie kształty. Wielkie ukojenie ztąd czerpał, bo ból jego stracił wtedy tę okrutną jasność, która przedtem mieszała mu zmysły. Pożądanie zasnęło w nim jakby na śmierć zmęczone, i gorzki żal zawodu uciszał się zwolna, roztapiając się w senną tęsknotę, w wielki, odczuwany wszędzie brak. Nieraz w ciszy samotnych wieczorów z długiego udręczenia rozdartej miłości zostawało mu tylko to poczucie braku, świadomość mętna, że czegoś niema, czegoś, co może życiem jest, marzeniem, szczęściem, snem, lub może.. jej postacią. Wtedy wszystko, co osiąść można wydawało mu się tak lichem i śmiechu wartem, że drwić mu się chciało z całego życia swego, z zabiegów różnych, nadziei i dążeń. Nawet te zbiory wierszy dźwięcznych, pieszczonych, w które wkładał cały swój kunszt wytworny i subtelny, cały talent i miłość poety, tylko pogardliwą litość w nim budziły. W tych dniach ponurych, beznadziejnych i nic już nie pragnących było mu gorzką radością, gdy mógł w tęsknocie swojej zatopić się tak niepodzielnie, że nie rozniecały się w nim nawet wyobrażenia i zdolność poety, ta chęć twórcza, by o lżach swych mówić tak, jak nikt inny. Rozmiłowywał się w unicestwieniu swoim, w ubóstwie ducha, skazanego na jedno wrażenie, w tej dobrowolnej ofierze, którą bez przerwy składał dla niej. Wdzięczność wielka i uwielbienie, które mimo przekleństw rozłąki przepełniały mu serce, szukały sobie wyrazu w tem całopaleniu własnym, w samobójstwie, którego jedyną trucizną był żal.

[Str. 148]

Odtąd samotność stała się jedyną towarzyszką długich godzin, które spędzał błądząc po mieście bez celu, obojętny wszystkiemu, z uśmiechniętą twarzą. Gwar życia, łoskot kół, szum tłumów, objął się o jego uszy i rodził w nim tylko—chwilami—wielkie zdziwienie. Im więcej obcym wydawał mu się zgiełk i to życie, tym lepiej czuł, że bliższą mu jest i żywszą—przeszłość. Niekiedy przesiadywał też do późnej nocy na werandach kawiarni i znajomi rozmawiali z nim wtedy wesoło o wypadkach dni ostatnich, nie wiedząc nawet, że człowiekowi temu życie ich jest niczem. Dopiero gdy ich żegnał w najciekawszym nieraz zwrocie rozmowy, niejeden uczył, że nie wiążą ich już nawet słowa.

[Str. 149]

Najchętniej jednak Karski krył się w ciszę kościelną, w pół jasny brzask pod sklepieniami łukami chłodnych, pustych świątyń. Siadał wtedy w ławce i zasłuchiwał się w niezmierny spokój, niezmacony nawet szeptem modlitwy; wzrok jego rozpraszał się na złotych aniołach ołtarzów, na szafirowych smugach, rozwieszonych w powietrzu, na liniach wysmukłych, lecących gdzieś ku górze, jakby w przepaście nieba. Jakaś głąb wielka i jasna opływała mu wtedy duszę, i wyrwawszy ją prawie z zawiasów cielesnych, niosła na przestwory dalekie, gdzie zostawał już całkiem sam z tą jedną myślą swoją. I wtedy przecucie tej wieczności, w którą nie wierzył, lecz której nie zaprzeczał nigdy, ogarniało go—na chwilę—lękiem tęsknoty zaziemskiej, samotności bezgranicznej. Więc z zamyśleń takich dusza jego przebudzała się nie tylko już tęskna, lecz i trwożna, i z trwogi prawie o łaskę wołająca. Pod groźbą tego strachu, jak w dziecku, rodziła się w nim pierwotna chęć, aby upaść na kolana i szlochać i błagać Boga, żeby go tą wiecznością nie karał, lub ją błagać, aby go na wieczność te nie odbiegała.

[Str. 150]

A gdy na ulicy potem blask słońca przywracał mu trzeźwą równowagę myśli, z widzeń

zaśmiertnych zostawała mu złowroga radość, że tęsknota przerwała już tamy, któremi rozum graniczy z obłędem.

Ze wszystkich kościołów miasta najwięcej upodobał sobie ogromny na rynku kościół gotycki.

Potężna wyobraźnia mistrza rzuciła tam na mury splątane pasma jaskrawych barw; na purpurowych płomieniach kolumn oparła błękitne gwiaździste sklepienie, za czarnym krzyżem z kroplami krwi rozpostarła wśród zieleni chóry aniołów. Przepych barw potraçał w jego duszy tajemnicze struny, ubierał w blaski każde ogniwo jego wspomnień i jej błędne widmo czynił nietykło nad inne kochanem, lecz i nad inne pięknem. Wielka ekstaza owładała tu nim często i słowa gorące, pełne czci nieskończoności, dławili go wtedy w gardle—ze łzami żalu marnego, że żywej tych słów nie powiedział. Szczypta zdrowego sądu, która za hulacynacjami jego się wlokła, bryzgała mu tym żalem w twarz, jak zniewagą, jak winą hańbiącą, i w uczuciu rodzącej się skruchy wznagała w nim jeszcze bolesną chęć, aby przykuć się na zawsze do tej tęsknoty. W takich chwilach mógł godziny całe trawić w tym kościele, ciężko oparty o poręcz ławki, z oczami nawpół przymkniętymi, niebacznym już nawet na kaskady światła, które słońce kolumnom rzucało na czoła. Usta jego były wtedy ciche i do westchnień nawet już niezdolne, lecz z dna jego istoty wyrwało się z uporem szaleństwa jedno imię, jedno błaganie. W chwilach ocknienia czuł wtedy w piersiach taki gniojący ból, jakgdyby gardło był zerwał na krzyk i wołanie. Nie wychodził nieraz z kościoła, dopóki zachrystyan nie trącił go w ramię, przypominając, że zamykać musi. Spostrzegał dopiero, że zeszył mu w myślach godziny dnia, i zimny zmierzch otoczył już poblądłe nawy. Uciekał wtedy czempredziej z tych ołowianych sklepień, martwych nagłe i ciszą przerażających. Lecz nazajutrz znów jedyną jego chęcią było wrócić do tego kościoła, do tych barw i do tych myśli.

[Str. 151]

W godzinach południa, gdy gwar pobożnych i odgłosy ich kroków wyrwały go z cichego upojenia, przechadzał się bezmyślnie z nawy do nawy i niedbałym wzrokiem przerzucał po raz tysięczny skarby katedry. Wychudłe ascetyczne twarze drewnianych świętych w gotyckich niszach nad stallami, duże czarne krucyfiksy z krwawiącą raną w boku Zbawiciela, tłuste anioły, uśmiechnięte nad cudacznymi gżemsami późniejszych ołtarzów, obrazy wyblakłe, szare od kurzu i starości wpadały mu w oczy, nie budząc żadnych wrażeń, i na chwilę nawet przykuć nie mogły jego uwagi.

[Str. 152]

A jednak wśród takiej wędrówki stanął kiedyś natychmiast, jakby w ziemię wrósł, gdy wzrok jego po raz pierwszy przesunął się przelotnie po »Zwiastowaniu«, które zapomniane wisiało w ukryciu wśród tablic nadgrobnych. Na małym splekanem płótnie nieznanego włoskiego mistrza była sama tylko twarz Madonny, promienna i słodka. Zdawało mu się przecież—i nie było to złudzenie, bo im lepiej się wpatrywał, tym więcej ufać musiał swoim oczom—że przez te rysy błogosławione i natchnione dojrzał twarz inną, więcej mu bliską i więcej kochaną.

Więc patrzeć zaczął... Tak spragnionym był jej widoku, tak często w bezsenności nocnej wyczekiwał w naprężeniu wszystkich zmysłów snu dobrego, który mógł mu jej postać przywieść przed oczy i rzucić w objęcia, że teraz, kiedy ją ujrzał tak bliską, tak świętą i tak uśmiechnioną, jakaś rzewność miękka, jakaś tkliwość rozbudzonych wspomnień oblała mu serce, i wargi mimowoli się rozchyliły i na usta wybiegał już okrzyk ten, którymby ją powitał obecną. I skoro opanował pierwsze wzruszenie, z tego chwilowego omdlenia przyniósł ze sobą jedno szczęście wielkie, na całe życie łaskę jedną. Bo oto ona została z nim i będzie mógł tak jak dawniej klęczeć przed nią i mówić jej na głos zaklęcia, prośby pełne i poddania, i będzie mógł, tak jak dawniej, złożyć usta na jej ciepłych, gładkich dłoniach... W kącikach oczu zakręciły mu się drobne łzy lśniące i radość dziwna, nieoczekiwana ścisnęła mu krtań, jakgdyby oto miał wybuchnąć szlochaniem. Odstąpił krok jeden od obrazu, i oparłszy się o mur, patrzył, patrzył jeszcze. Zapomniane wrażenia dzieciństwa ocknęły się nagle w tym człowieku bez wiary, wróciła mu nagle pamięć godzin modlitwy i długich tych chwil, kiedy dzieckiem jeszcze klękał i zwierzał się Bogu z pragnień swych i żalów. Wspomnienia te jasne i czyste, jak lilje, płątały się bezładnie z innymi świeższymi stokroć, gdy w niej jednej znajdował spokój swój i szczęście. Powoli zacierają mu się jak we mgle, granice istot i czasów; w oczach przyćmionych łzami postać Madonny olbrzymiała, coraz podobniejszą się stając do straconej, obcej i dalekiej. I zarazem odrywała się myśl jego zupełnie od wszystkiego, co go tu na dole otaczało. Wpatrzony w ubóstwione rysy nie spostrzegał, że kościół napełniał się ludźmi, że księża w ornatach wychodzili z zakrystyi...

[Str. 153]

Odezwały się organy. Jakby z oddala, z głębokiej otchłani polał się potężny hymn żalu; pieśń rozpaczy i skruchy, zmiłowania i łaski prosząca, wybuchnęła głośnymi akordami i biegła roztrącić się i rozsypać w jęki o gwiaździsty, nieruchomy strop. Jęk za jękiem uderzał o kamienne sklepienia, które zdawały się wtórować im i dźwięczeć. I wtedy jakieś czarodziejstwo naszło na Karskiego; zmąciło mu się wszystko w oczach i w myśli; kolumny kościelne zapaliły się jak pochodnie od płomieni, które je obejmowały, sklepienie się rozwarło, dając jasnym błękitom dostęp, i ona, kochana, święta zdawała się zrywać z tego płótna, schodzić ku ziemi i wyciągnąwszy ku niemu ręce mówić to jedno tylko: Oto jestem. Wtedy radość przesilna złamała go i rzuciła na kolana; gwałtowne łkanie rozdarło mu pierś, a zaciśnięte usta powtarzać zaczęły bezwiednym, bardzo cichym szeptem: Droga, droga, droga...

[Str. 154]

.....
.....

Kiedy Karski znalazł się potem na ulicy, czuł w sobie wielkie zmęczenie ciała, ale w myślach miał teraz spokojność łagodną i cichą, jakgdyby odbłask tej wielkiej radości, którąby odzyskanie jej mu dało. Rozumiał dokładnie, że to było chwilowe oczarowanie, które prysnęło jak tęcza, że miał widzenie bardzo niejasne i nie wiedział właściwie, przed kim czy przed czym modlił się i klęczał. Rozumiał też, że ten zachwyty nie powtórzy się więcej, że nie uda mu się zapomnieć życia tak

[Str. 155]

doszczętnie i doczekać po raz drugi jej zwiastowania. Lecz po tem spazmatycznym prawie wrażeniu ukojenie słodkie otuliło jego myśli, jakgdyby na skronie spadła mu jeszcze jedna jej pieśczoła długa, na życie całe zostająca. Chwilami zdawało mu się bardzo wyraźnie, że jakaś drobna cząstka jej, jakiś cień jej drżący jest tuż za nim obecny po to, aby nie opuścić go więcej i nie rozstać się z nim nigdy. W ekstatycznym podnieceniu wyobraźni tęsknota jego zbladła i odstępowała go z wolna; i ten ciężki przygnębiający smutek, gdy czuł tylko to, że jej nie ma, osuwał mu się z piersi.

Dnia tego błędził długo po mieście, z ulicy na ulicę, niezmęczony, jakby ciekawy każdego zakątka. Powietrze, już bliskością wiosny wonne, swobodniej przenikało mu do piersi: po raz pierwszy od dni tylu zmysłowa rozkosz życia, rozkosz wiatru i światła budziła się w nim z uśpienia. Widoki, wpadające mu w oczy, chwycił skwapliwie i czuł nieraz, że myśl jego, dotąd beznadziejnie zapatrzona w jedno wspomnienie, drgnęła raz i drugi, i uniosła się nieco, i spostrzegła skrawek błękitu nad domami i piosnkę usłyszała, którą nucił ktoś wysoko na poddaszu. Uczuwał w sobie, jakby nowy przypływ i pełnię sił, chęci przebłąskujące i jeszcze ukryte, pożądania nowe i możliwość nowych radości. Mimowoli dzwoniły mu oderwane nuty melodij, śpiewanych gdzieś dawno, i niespodziewanie stanęła mu nawet w pamięci strofa ostatnia ostatniego wiersza, który pisał przy niej.

[Str. 156]

.....I duch mój wzięwszy skrzydła purpurowe
Już się do lotu zrywa, tam gdzie nowe
Światło.....

I nagle podrażniony w nieświadomej jakiejś próżności, nie zastanawiając się, co czyni, w myślach dobierać zaczął po cichu innych słów, dźwięczniejszych, głębszych, żywszych, któremi powiedzieć by można wszystko, co się w duszy dzieje... W miarę jak te słowa bezgłośnie układały się w rytmy i jednoczyły w obrazy, rosła w nim chęć, aby je wymówić i obrazy te zatrzymać. O niej przecież mówić miał i o tem co przeżyli razem; zadowolenie artysty łączyło się zdradziecko z rozkoszą głośnego wyznania... Zasłuchany teraz w muzykę własnych myśli, które brzmiały mu jeszcze echem niezapomnianej kościelnej melodii, Karski zdązał ku odludnym stronom miasta, gdzie gwar nie przeszkadzał jego twórczej pracy. Wydostał się na daleką, zrzadka zabudowaną aleję i tam na pierwszej napotkanej ławce siadł...

Zmierzch zapadał i w suchem powietrzu zachód płonął jeszcze ognistą czerwieńią; lecz ku zenitom nieba nad głowami czerwień jaśniała, żółkła aż nieuchwytnym szeregiem odcieni rozplywała się w głębokiem zielono-błękitnem sklepieniu, gdzie kilka gwiazd lśniło, jakby srebrne szpilki. Karski parę chwil przyglądał się blaskom gasnącym na zachodzie: majestatyczny widok światła i barw rozbudził w nim znów żywiej wrażenia, które rankiem po nim przebiegły. I wtedy na starym świstku gazety ołówkiem zaczął pisać wiersze niedbałe, jakby spowiedź rzuconą w świat, niewiadomo przed kim i dla kogo.

[Str. 157]

Kiedyś przybiegła ty do mnie i białą
Dłoń mi na usta położyła drżące
I pokraśniała milcząc, mnie się zdało,
Że nagle kwiatów zakwitło tysiące,
Że ciebie nagle otoczyły całą
Mgły przeźroczyste i złotem świejące,
I w złotych blaskach tak byłaś mi piękną,
Że czułem, jak mi słowa w ustach miękną,
I że się oto modlić będę... tobie.
I jużem ukląkł...

Karski wstrzymał się na chwilę i w zmroku pospiesznie przeczytał to, co był napisał. Nagle zdało mu się, że ciemny pąsowy rumieniec wystąpił mu na twarz. Więc doprawdy stała mu się już tak obojętną i obcą, że wiersze teraz o niej pisać mógł spokojnie, gdy przedtem każde jej wspomnienie wstrząsało go do głębi? Więc ze śmiesznym pośpiechem poety korzystać chciał z okazji, aby w szeregu pustych, bezsilnych słów roztopić pamięć tej chwili jedynej nadziemskiego widzenia i radości? Więc spieszył się przystroić ją w fałszywe blaski fantazyi i uczynić przedmiotem swoim i natchnieniem, aby tem łatwiej wydrzeć ją ze swego życia, i o żywej i kochanej zapomnieć?... Ogarnęło go gorzkie uczucie pogardy dla tej małoduszności poety, który skarżyć się chce z gadatliwością dziecka i jak dziecko pociesza się swym płaczem. Zdjął go żal wielki za tą szczerą i potężną miłością, którą połamać miał na drzazgi i w pieśniach rozproszyć, i żal jeszcze większy za tą tęsknotą, że przestała go dławić tak, jak dawniej. Jakby przytłoczony świadomością winy, pochylił się w ławce i bezwładnie ręce opuścił; ołówek wysunął mu się z palców i upadł na ziemię.

[Str. 158]

Z mrokiem nocy, co od krańca w kraniec nad miastem się roztoczyła i błysnęła tysiącem gwiazd zimnych, spadał mu na duszę smutek coraz cięższy, jakgdyby po raz drugi ją stracił gorzej jeszcze i nieodwołalnie...

ANDRZEJ TUROWICZ lat 34.
ZOFIA, jego żona lat 25.
JAN KARSKI lat 28.

Ubogie mieszkanie studenckie w Paryżu; drzwi w głębi; z prawej strony dwa łóżka ustawione jedno za drugim. Szafa, ubrania męskie i kobiece zasłonięte płótnem. Na lewo na przedzie stół, dwa krzesła i kanapka. W tylnej części ściany mała kuchenka. Ciepły letni zmierzch, pełen różowych odbłasków zachodu zapada zwolna. [Str. 161]

Przy stole na kanapce siedzi Zofia, zamyślona lecz pogodna, zajęta szyciem, które pozornie pochłania jej uwagę.

Drzwi w głębi otwierają się: wchodzi KarSKI—z wyrazem znużenia i zdenerwowania na twarzy.

ZOFIA [obracając się ku wchodzącemu, z uśmiechem]. Tak późno wracasz, jedyny?

KARSKI [wita się z nią pobieżnie i siada przy niej na kanapie]. Miałem dużo roboty i niesporo mi idzie. Ciężko mi jeszcze pisać po francusku.

ZOFIA [troskliwie]. Zmęczony jesteś? Jak ty źle wyglądasz?

KARSKI [znużonym głosem]. Tak. Zmęczyłem się trochę, bom szedł najpierw odwiedzić Henryka—wiesz Rzeckiego, ale później rozmyśliłem się i znów odłożyłem na później. Czas jeszcze. Przysporzyło mi to jednak drogi.

ZOFIA. Nie ciekaw jesteś go widzieć? tylekroć mówiłeś mi o nim jeszcze w Warszawie. Tyle lat nie widzieliście się... [Str. 162]

KARSKI. I możemy się nie zobaczyć. Wszystko jedno! Mój Boże, cóż nas dziś łączy? Od tych lat, kiedyśmy się znali, kilku ludzi przesunęło się przezemnie, a ja sam nawet nie wiem, jak się zwali i dokąd poszli. Mniejsza o nich zresztą. [weselszym tonem]. Coś tak posmutniała, Zosieńko moja? czemu? No, spójrz na mnie.

ZOFIA [smutnie]. Jakiś ty dziwny; mówisz czasem tak smutnie, tak beznadziejnie i gniewasz się, że mi nie do śmiechu. Niedobry jesteś, nie, nie.

KARSKI [wesół, pół żartem, pół seryo]. Uspokój-że się, dziecko. Najpierw nie powiedziałem nic smutnego. Bo czyż jestem dziś taki, jak byłem dawniej, nimem ciebie poznał? I ty, ty sama nie odmieniłaś się nic a nic? Jest pani zawsze tą samą wesołą a tęskną trzpiotką, z którą przed rokiem tańczyłem kadryla u Lempickich?

ZOFIA. O nie, nie.

KARSKI [już z pewnem zamyśleniem, jakby ulegając nadchodzącym wspomnieniom]. Pamiętasz ten wieczór? W jakiej byłaś sukni?

ZOFIA [nieco zdziwiona]. Jaki wieczór, kochanie?

KARSKI [ciszej]. Ach, ten pierwszy.—Ty nic nie pamiętasz... Nie znałem cię jeszcze wtedy. [Str. 163] Przyszłaś sama z jakąś ciotką, jakgdybyś panną była. Miałaś na sobie taką bladą, bladą różową suknię jak najranniejszy świt i fiołki we włosach. I tyle woni fiołków w koło ciebie. Ach, ty kwiecie! [obejmuje ją wpół i przytula do siebie].

ZOFIA [bezdźwięcznie]. To było tak dawno, tak dawno.

KARSKI [odsuwa ją od siebie, porywczo]. Żal ci tego?

ZOFIA [pieszczotliwie]. Mnie żal, mnie? Czem ja byłam? Ot dzieckiem, które chodziło z balu na bal, śmiało się, tańcowało, i prawie nie wiedziało, że jest nikomu niepotrzebne, że nic nie kocha. Wiesz ja dawniej naprawdę myślałam, że ja jego... Dopieroś ty przyszedł. Jakiś ty był smutny; ciebie jednego mi tak żal było. [chwyta go za rękę].

KARSKI [jakgdyby nie do Zofii mówiąc]. Byłem smutny? Nie, to nie jest smutek, co się w duszach naszych lęgnie. To coś gorszego, coś czarniejszego. Takie znużenie straszne, które wygryza wreszcie i ból, i tęsknotę i pożądanie, i nie pozostawia nic, na czym oprzeć by się można. I ta pogarda, ta żrąca, uśmiechnięta pogarda dla ludzi, dla siebie, dla każdej myśli mojej, dla każdego tchnienia mego. Takie obrzydzenie do siebie, do ciała i duszy, że błogosławiłbym stopę, któraby mię rozdeptać chciała... I te nagle martwe cisze, gdzie wszystko zapada, gubi się, ginie, jakgdyby fale śmierci zalały nas powyżej głowy. [pod koniec mowa staje się coraz prędszą]. Nie wiem co czuję, każda myśl moja, każde drgnienie jakimś wiatrem zagnane przychodzi, ucieka jedno za drugim w pędzie, splątane jak dym. I znów pustka, pogodna beżsłoneczna pustka, która milczeniem swoim zdaje się pytać: po co, po co żyjesz? Po co żyjesz? [Str. 164]

ZOFIA [przysuwa się ku niemu sama, tkliwie]. Jakie to straszne! Ale to było dawniej, dawniej, prawda, dawniej? Ty tego nie czujesz teraz, nigdy? nigdy?

KARSKI [po chwili ciszy]. Nigdy.

ZOFIA [coraz tkliwiej]. Prawda? ty żyjesz dla mnie, dla swojej Zosi, musisz żyć dla mnie. Twoja Zosia jest sierota, samiuteńka jedna, nikogo nie ma na świecie, umarłaby z głodu bez ciebie.

KARSKI [ironicznie, zrywa się z kanapy i zaczyna chodzić po pokoju] I ze mną ci niewiele do tego brakuje. Żyję dla ciebie, a ty w takiej nędzy.

ZOFIA. A wiesz co, że ty śmieszny jesteś. No i czego mi potrzeba. Gdybym nie wiem wiele miała pieniędzy, nie wiedziałabym, co z nimi tu począć. W Warszawie co innego, ale tu... A zresztą to zabawne tak liczyć te susy. Nigdy nie umiałam tego dawniej, a już się wyuczyłam. Widzisz, jaka Zońka twoja pojętna. I jeszcze bym ci coś powiedziała, ale ty się będziesz śmiał ze mnie. [Str. 165]

KARSKI [stając przed nią, miękkim, kochającym głosem]. Z ciebie, duszo moja, z ciebie?

ZOFIA [nieśmiało]. Widzisz—mnie się czasem zdaje, że to dobrze, że my jesteśmy w biedzie. Już za nic bym nie chciała, abyś ty był bogatszy od Andrzeja. Nie, nie. Ja mogę być wesoła, lekkomyślna i bardzo niemoralna, ale ja wiem, wiem bardzo dobrze, że to jest źle, źle to wszystko, co ja z tobą zrobiłam. Nie śmiej się z tego, bo to jest wielki grzech. Mówił mi to jeszcze ksiądz na spowiedzi, nimem ciebie znała. Może ta bieda nasza będzie mi za pokutę policzona. [Z pewnym przymusem]. No, nie śmiej się.

KARSKI [chodząc po pokoju]. Jaki ja jestem podły, podły! Ja wiem, tyś wszystko poświęciła dla mnie: religię swoją, opinię, przyszłość, bogactwa; narażasz się na zniewagi, na głód—dla mnie, wszystko dla mnie; a ja co, co ja ci dałem? [szyderczo] Ja mam przygodę miłosną. Nic dla ciebie zrobić nie mogę, nawet zapracować nie mogę tyle, żebyś ty biedy nie cierpiała, [jakgdyby z trudem mówiąc]. Wiesz, obciąli mi połowę godzin w redakcyi. Ośmdziesiąt franków na nas oboje! A przyjąłem to zupełnie spokojnie, apatycznie, tak, jak gdybym ciebie nie znał, jak gdybyś nie ty na tem cierpiała. Czyż ja ciebie nie kocham? [Str. 166]

ZOFIA [powtarza bezdźwięcznie]. Ośmdziesiąt franków. Połowa tego, cośmy dotąd mieli...

KARSKI [staje znów, mówi namiętnie]. Słuchaj! Uczucie moje dla ciebie to ostatnia moja świętość: gardziłem wszystkiem, oplułem w sobie wszystko, prócz tej jednej, jedynej miłości. Ty musisz być dla mnie wszystkiem, ty jesteś moją wiarą, siłą, moją duszą. Jeśli mi się jedną chwilę zdaje, że ja ciebie nie kocham—tak jak tam w redakcyi—zdaje mi się, że oszaleję. Nie, nie oszaleję. [z rozpazą]. Ale jeśli ja ciebie nawet nie kocham, to chyba już dziś jestem trupem.

ZOFIA [wstaje i bierze jego głowę w ręce i przytula do siebie; łagodnym, kojącym głosem]. Ty moje szalone, biedne dziecko! Ty mnie nie kochasz, ty? Czy ja tego nie widzę, czy jabym mogła choć jedną chwilę o tem wątpić? ty mnie nie kochasz, tyś mi nic nie poświęcił? Tyś chciał poświęcić wszystko, siebie całego. [z pewną grozą w głosie]. Och! ja pamiętam to dobrze!

KARSKI [zdziwiony]. Co ty pamiętasz Zosiu?

ZOFIA. To, coś mi mówił wtedy, dawno jeszcze. Ah! to nie był żart. Tyś tak okropnie patrzył wtedy. [Str. 167]

KARSKI [z rosnącym zdziwieniem]. Kiedy? co?

ZOFIA. Wtedy, pierwszym razem... u ciebie... na Żórawiej. O nie, nie chciałam przyjść. Jeszcze nic nie było między nami, jeszcze mogło być wszystko inaczej. I nie byłabym przyszła. Tak się długo modliłam do Matki Boskiej, i tyle sił miałam i tak się chciałam poświęcić, i tak cię kochałam! Chciałam się na zawsze zakopać na wsi—u nas w Golewicach, ukryć i zdusić tę miłość, która mię dławiała. [smętnie]. Byłbyś szczęśliwszy może.

KARSKI [silnie]. Bez ciebie? nie mów tak nigdy.

ZOFIA [mówi z trudem, pokonywując uczucie zawstydzienia i winy]. Przyszłam wtedy do ciebie, żeby cię pożegnać, powiedzieć ci to wszystko, powiedzieć ci, że musimy się rozstać, że będziesz zawsze wybranym mojej duszy, ale że ja z twoją być nie mogę, że ja twoją być nie chcę—Boże, Boże... Myślałam, że się będziesz gniewał, przekonywał. A ty nic, tylkoś mi powiedział to jedno, ale takim głosem strasznym, że mię dreszcz zdjął, jakgdybym już grób przed sobą zobaczyła. Klęczałaś przedemną i oczy twoje, twoje śliczne oczy, patrzyły gdzieś w dal nieprzytomne i powtarzałaś, jakby już nie myśląc nawet: Zosiu, Zosiu, rozstanie z tobą mnie zabije. [z wybuchem, chwytając go za ręce i cisnąc ku sobie]. Janku mój, ty nie pogardzaj mną, ale ja nie mogłam inaczej, ja nie mogłam cię zabić. Przysięgnij! ty nigdy nie będziesz mną pogardzał? Nigdy? Widzisz—ja nie wiem, za co ty mnie tak kochasz, mnie cudzą, wiarołomną żoną. [Str. 168]

KARSKI [bezdźwięcznie, jakgdyby powtarzając dawniej powiedziane słowa]. Rozstanie z tobą mnie zabije; tak powiedziałem ci to—rozstanie mnie zabije.

ZOFIA [trwożnie]. Jak ty dziwnie patrzysz! Nie rozstaniemy się przecież nigdy, nie opuszczę cię nigdy. Słyszysz? Nie wierzysz mi?

KARSKI [chłodno, z zamyśleniem]. Nie, nie... Ale dziękuję ci, żeś mi to przypomniała teraz. Jak błędącego w górach otoczyły mię mgły, i zdawało mi się, że na okół równina, zewsząd gładka i czysta. Rozdarłaś mi mgły, i widzę, że tam jest otchłań, tam musi być... [pewnym głosem] i będzie.

ZOFIA [trwożniej]. Na Boga—co ci jest dzisiaj? Janek, tyś nie zdrów: położysz się zaraz, dobrze? [podchodzi do łóżek, chcąc zdjąć i przygotować pościel].

KARSKI [powstrzymując Zofię]. Nie jestem chory, nawet nie jestem zdenerwowany. Nic mi nie jest. Ale ja siebie nie znam, ja siebie się lękam. Ja byłem takim dziwnym dzieckiem. Dorastającym chłopcem krajałem sobie ramię nożem, aby jakiś jęk z siebie wydobyć, jakimś bólem powiedzieć sobie, że żyję.—I dziś niewiem nawet, czy mię te rany bolały. Czytałem kiedyś Irydjona: nie wzruszył mię szatan Massynissa, nie wzruszył mię bohater, ani Grecya, tylko ten smutny, znudzony Cezar. Czternastoletni sztubak płakał nad Heljogabalem! Czasem mi się zdaje, że jak u niego, każde czucie moje jest fałszem, każda żądza moja jest starczą, bezsilną, zapóźną ciekawością, bańką błota co nie błysnie nawet i pęka. Ja nie pamiętam dziś, jakem ja zaczął cię kochać. [ironicznie]. Możem był ciekawy twej miłości? [z pogardą]. Tylko trochę drogo cię ta ciekawość moja kosztuje. [Str. 169]

ZOFIA [głosem, w którym przebija już zdenerwowanie i cierpienie]. Powiedz, powiedz, poco ty dręczysz mnie i siebie? Doprawdy ty mnie chyba mało znasz. Że jestem wesoła i nieraz rozbawiona, to nie wyobrażaj sobie jeszcze, że jestem naiwnym dziewczątkiem, które panu podobało się zabrać z sobą. Wiem, co zrobiłam—i to chciałam zrobić. Czy ty nie rozumiesz, że obrażasz mnie, gdy mi wspominasz dawny dobrobyt, i sądzisz, że mogę za tem tęsknić? Nie mów mi o tem nigdy, pamiętaj, bo mnie to boli. [przekonywująco i weselej]. Ty się dręczysz, że będziemy teraz mieli mniejsze dochody, a już przedtem nie zawsze wystarczało. Ale i to przejdzie. Ty znajdziesz jeszcze inne zajęcie—za miesiąc, dwa—to się już zupełnie wyuczysz po francuzku. Zobacysz, jeszcze będziesz zamiast Lemaitre'a feljetony do Debatów pisywał. A i pani twoja weźmie się do roboty. Ty nie wiesz, jak ja kapelusze ubieram; doprawdy, nie widziałam ładniejszych na bulwarach. [coraz weselej, ze śmiechem]. Założę jeszcze wielki magazyn mód; będzie taki wielki szyl: „*Madame Sophie, Maison des confections*” na Rivoli, albo na rue de la Paix, obok Wortha dla konkurencji. Wszystkie elegantki się do nas przeniosą. [z głośnym śmiechem]. Pokażę ci księżnę Chimay z jej cyganem, chcesz? [Str. 170]

KARSKI [nieprzezwyciężony wesołością, poważnym głosem]. Ty się modlisz, Zosiu?

ZOFIA [zdziwiona]. Ty wiesz przecie...

KARSKI [poważniej jeszcze]. I spowiadasz się?

ZOFIA [niechętnie odpowiadając, smutnie]. Teraz, teraz...

KARSKI. Ty wiesz, co jest kłamstwo?

[Długa chwila ciszy].

Czy ty wierzysz, że ja nigdy przed tobą nie kłamałem, nigdy, ani wtedy, gdyś po raz pierwszy przysłała do mnie? Czy ty mi wierzysz? [Str. 171]

ZOFIA [uczuciowo]. Wierzę, wierzę.

KARSKI [dobitniej, prawie natarczywie]. Tak jak sobie wierzysz?

ZOFIA. Tak jak sobie.

KARSKI. Czy ty wierzysz, że cię kocham nad wszystko, że nigdy cię nikt nie kochał więcej odemnie?

ZOFIA [zmęczona]. Wierzę, jak duszy swojej, wierzę.

KARSKI [z silnym wybuchem]. Bogdajbym zginął, gdybyś ty się zawieść miała.

ZOFIA [ze zmęczeniem, ogarniającem ją nad siły]. Ja tego nie chcę, tak być nie może. Te ciągle wyrzuty cię zamęczą. No i o co, o co? Jedno jedyne miałam pragnienie, abys ty, mój najdroższy był szczęśliwy. I patrz co się z tem dzieje! Przecież ja widzę, że ty nie jesteś szczęśliwy. Czemu—czemu? Chciałeś mię mieć—jestem twoją, na zawsze twoją. Chciałeś mię mieć tylko dla siebie, zdala od wszystkich, od niego—przyjechaliśmy tutaj. Cóż ja jeszcze zrobić mam dla ciebie? Bo widzisz, gdybyś ty nigdy nie był szczęśliwy ze mną, to byłaby dla mnie taka kara, taka kara. [ze łzami]. Oh, nie...

KARSKI [spokojniej znacznie]. Ale ja jestem szczęśliwy,—jeśli ty mi wierzysz. Nie uwierzyłbym Bogu, gdyby mi stanął tu w płomiennym krzaku, ale tobie wierzę. [Str. 172]

ZOFIA. Ach, nie mów tego. Tak chciałabym, abys ty choć trochę wierzył. Ale to niemożliwe.

KARSKI [pół-prosząco, pół-zartobliwie] Nawróć mnie.

ZOFIA [przejmując się słowami swemi, miękko]. Ach, gdybyś ty naprawdę chciał. To tak dobrze zapomniać wszystkich zgryzot, bólów, tęsknot; taki spokój, taka jasność nachodzi wtedy na mnie. I to, że całą wieczność będzie się miało przy sobie tych, których się kocha. Wiesz, wtedy co to nas już mieli wyrzucać z mieszkania, bo nie było pieniędzy na komorne,—tyś wybiegł, jak szalony, poszukać gdzie u kogo chociaż kilku franków; zostawiłeś mnie samą. Mnie tak było straszno, ciągle mi się zdawało, że ktoś przyjdzie i zacznie mnie stąd wypędzać. Jeszcze byłam taka naiwna i nic nie wiedziałam, że tak prędko wyszły nasze pieniądze... Lękałam się zostać w domu i wysłać na ulicę. Poszłam przez Boul'Mich. Długo, długo stałam na moście: szara, mętna woda płynęła bez końca i jakgdyby podnosiła się i podchodziła ku mnie. I pomyślałam sobie, że sama nie potrafię tu przyjść więcej; ale z tobą—jeśli ty nic nie znajdziesz—dobrze. Ty nawet nie wiedziałeś, jak mi wtedy było straszno i ciemno dokoła! Wracając przechodziłam koło Notre Dame; drzwi były otwarte, grały organy, poszłam. Było tak pełno, a nad nami leciały tony głębokie, wielkie, jakby wichur z organów zrywał się i rozpędzał nam dusze, gdzieś daleko, po [Str. 173]

nieskończonościach, już u samych stóp Boga. Nie, ja się nie modliłam, ale byłam tak wysoko, tak daleko i od Sekwany, i od tego pokoju na Glacierreze...

KARSKI [zazdrośnie]. I odemnie?

ZOFIA [jakby w zachwyceniu]. Tak,—i od ciebie. Ty się gniewasz o to? Ale jak wróciłam, to byłam taka silna, taka pewna, taka spokojna. Gdybyśmy na ulicy nocować mieli, to wiedziałam, że się nam nic nie stanie i że ja nic złego do ciebie i do mnie nie dopuszczę.

KARSKI [po krótkiej ciszy]. Daj mi swą duszę.

ZOFIA [pieszczotliwie]. A któż to ją ma?

KARSKI. Nie, nie tak, nie tak. Ja mam być poetą, artystą, ale ja nic nie stworzę, ja nic nie kocham. Ja się niczego, niczego nie lękam, ale i nic nie kocham. Słucham, śledzę twe czucia, ja wiem, że tam nic nie ma, ale wierzyć w Boga jest pięknie, bardzo pięknie. [z smutną ironią]. Co jest pięknego we mnie?

ZOFIA. Ty nic nie stworzysz? A kto napisał: »Widziałem krew na duszy mojej«? Kto napisał: »Złote gromy«?

KARSKI [smutniej]. Dzisiaj już nic nie ma we mnie.

[Str. 174]

ZOFIA. Bo się męczysz, bo się trujesz głupstwami, o których mówić nie warto nawet. [z dziecinnym zapałem]. Słuchaj, ty musisz być wielki! zrobisz to dla mnie, prawda? [jakby chwytając z radością myśl, która się jej nawinęła]. Jak to dobrze, że masz teraz mniej roboty w redakcji! No bo wprost nie miałaś czasu, ale teraz codzień popołudniu zasiądziesz do pisania. [żartobliwie]. Tak, mój drogi, skończyło się próżniactwo! Już Zośka cię dopilnuje. Dokończy pan tę komedię którąś mi czytał kiedyś—pamiętasz u mnie jeszcze. To takie śliczne było. Poślemy to do Warszawy. [opamiętuje się]. Nie do Warszawy, nie—gdzieindziej, do Krakowa lub Lwowa. A później pojedziemy na przedstawienie. [smutnie]. Tak dawno już nie słyszałam, jak dokoła mówią po polsku... [znów żywiej]. Ty pójdziesz sobie do łóży, a ja schowam się gdzieś cichutko, skromniutko, na galerii, w takim kąciuku, aby mię nikt nie widział. Potem oklaski, krzyczą: autor, autor! Ty się kłaniasz. [dziecinnie, klaszcze w dłonie]. Ja się chyba spalę z radości, że to ty, ty mnie kochasz. A może ty wtedy przestaniesz swoją Zońkę kochać?

KARSKI [słucha, nieco zamyślony, zdjęty rozkoszą]. Mów, mów dalej... Jaki ty masz głos!

ZOFIA [bardzo wesoło]. No widzisz, znów to samo, a ja tego tak nie lubię. Napewno nawet nie wiesz co ja mówiłam. Tak mnie słuchasz? Myślisz, że to przyjemnie... Ty mnie chyba masz za bardzo głupią. Może masz rację nawet. Ja jestem taka roztrzępana.

[Str. 175]

KARSKI [powoli]. Chciałbym nic w życiu nie słyszeć oprócz głosu twego. Tak, głos twój pokochałam najpierw.

ZOFIA [z wybuchem śmiechu]. Najgorzej w świecie! No już teraz nic, nic nie słucham. Ot do czego to prowadzi! Zapomnieliśmy na śmierć o obiedzie. A jestem taka głodna. A jak Zońka jest głodna to jest taka zła, zła...

KARSKI. Dziecko, dziecko moje.

ZOFIA [podbiega do szafy, otwiera ją i przegląda półki]. Ale nic nie ma w domu. Tylko kawałek masła od wczoraj został. Trzeba jeszcze zejść do miasta. [wracając znów do Karskiego, który stoi przy stole]. Czekać, pomyślimy co będzie na obiad. Najpierw... najpierw sardynki—ty lubisz sardynki—prawda? Potem kupimy dwa duże befsztyki, takie po sześć susów, a na deser... [wesoło] no zgadnij, co ci kupię na deser, zgadnij!

KARSKI [pieszczotliwie, wesoło]. Nie wiem, ty szalona główko.

ZOFIA. Bo nie zgadniesz. Róże, róże. Widziałam wczoraj takie śliczne róże, białe, ledwie

ledwie różowe. I tak tanio, duży bukiet za cztery susy. W Warszawie toby ze trzy ruble kosztowało. [z pewnym wahaniem]. A może to źle, że ja chcę róże kupić?...

[Str. 176]

KARSKI [wesoło]. Dlaczego znów źle?

ZOFIA [poważniej nieco]. Najpierw, to jest zbytek, a my teraz musimy oszczędzać bardzo. A powtóre to jest deser dla mnie, bo ty kwiaty nie zbyt lubisz, i może będziesz głodny.

KARSKI [z rozrzewnieniem]. Nie, nie, nie chce mi się jeść; nie będę głodny.

ZOFIA [całuje go, uradowana]. Ach! jakiś ty dobry! Widzisz mnie się tak strasznie chciało mieć te kwiaty... Przepadam za różami, już wczoraj chciałam zaraz je kupić, ale nie miałam ani susa. W Warszawie w każdym pokoju były u mnie kwiaty. A teraz daj mi pieniądze, polecę prędiutko [liczy prędko]. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, dwadzieścia... Daj mi półtora franka [odwracając się od Karskiego podchodzi do wieszadła z ubraniami, wkłada zarzutkę i lekki słomkowym kapelusz. Chwila ciszy]. Janek, ja już idę...

KARSKI [chodzi po pokoju, nie patrząc na Zofię, mówi zimno, a jednak ze wstydem]. Zosiu, ja nie mam tyle.

ZOFIA [zdziwiona]. Przecież dostałeś trzy franki w Journalu.

[Str. 177]

KARSKI. Tak, dostałem. Ale przechodziłem koło Odeonu, zacząłem czytać i kupiłem książkę.

ZOFIA [z uczuciem zawodu]. Kupiłeś książkę...

KARSKI [usprawiedliwiając się, prędko]. Verlaine, poezje Verlaine'a. Ale ja to będę tłumaczył. To takie modne dziś u nas. [rzuca książkę wydobytą z płaszcza na stół].

ZOFIA [opanowując się, znów wesoło, by oszczędzić Karskiemu wyrzutu]. Jak to dobrze, żeś kupił Verlaine'a. Tak mało go znam. Będziemy to czytali razem. Ty tak ładnie umiesz czytać. Pamiętasz w Zurichu, jakieś mi czytał »w Szwajcaryi« na jeziorze... Byłam jeziora błękitnego panią. Ach! poezya...

KARSKI [chodzi po pokoju, zaciskając dłonie]. Podłość, podłość, podłość!

ZOFIA [swobodnie, początkowo z nieco sztuczną, później zupełnie szczerą wesołością]. O, już pan znowu znowu zaczyna? Nie ma czasu na to. Ile masz pieniędzy? [Karski podaje jej pieniądze]. Siedemdziesiąt pięć centimów; trzeba zmienić *menu*. Ja i to umiem. Niedarmo czytywałam w Warszawie Kurjerek Poranny. Przepisy gospodarskie: najpierw wspaniały obiad, a potem u dołu skromny; i zupełnie to samo. Więc teraz będzie tak: sardynki są nieświeże w lecie—zawsze mię tak uczono—a różę od wczoraj napewno powiędły. Befszyk sześćdziesiąt centimów, chleb dziesięć, jeszcze nam zostanie cały sus na zapas. Zaraz wrócę. Zapal tymczasem lampę [zwraca się ku drzwiom].

[Str. 178]

KARSKI [szybko zastępuje jej drogę]. Czekaj, wolę sam iść. Nie chcę żebyś teraz tyle chodziła po świecie, zmęczysz się...

ZOFIA [zmieszana, nieco trwożna, jakby starając się Karskiego wybadać i zrozumieć]. Dlaczego teraz nie chcesz? Przecież zawsze ja chodziłam po sprawunki. Czy ty?...

KARSKI [wybuchając]. Na Boga, przecież to chyba mogę zrobić dla ciebie, aby iść na dół po obiad!

ZOFIA [na pół już zawiedziona]. Więc tylko dlatego chcesz sam iść, żebym ja się nie zmęczyła? Nic więcej?

KARSKI. Ja nie mogę patrzeć, jak ty się tu niszczysz, bez tchu przebiegasz te sześć pięter. Przecież to ciebie z nóg zupełnie zbija.

ZOFIA [z rezygnacją w głosie]. Idź, idź najdroższy. [Karski wychodzi. Zofia spostrzega, że zostały jej w rękę pieniądze, których Karski zapomniał. Wybiega więc za nim ku drzwiom].

Weźże pieniądze [podaje mu przez drzwi, podchodzi do kuchenki, zaczyna rozpalać ogień, wraca następnie ku stolikowi i zapala lampę]. On się niczego nie domyśla! Może to ja się łudzę? Nie, nie, to się czuje. I nie mogę mu powiedzieć: on taki zdenerwowany i w Journal'u mu wymówiono popołudnie... [siada, i z wyrazem smutku i zniechęcenia opiera się rękami na stole]. Tak marzyłam o tem niegdyś, tak pragnęłam, a dziś, dziś... wstydzę się nawet to wymówić. Może on tego nie chce... Boże, Boże! tylko Ty tego dziecka za mnie nie karz... Ach co tam! już jestem tak zmęczona... [Machinalnie bierze książkę leżącą na stole, i przerzuca kartki, czyta bardzo wolno i cicho].

[Str. 179]

Les sanglots longs
Des violons
De l'automne,
Blessent mon coeur
D'une langueur
Monotonne.

[ciszej jeszcze].

Et je m'en vais
Au vent mauvais,
Qui m'emporte
De ça, de là
Pareil à la
Feuille morte.

Ach! jakie strasznie smutne! śliczne! Ale on pisze ładniej »Widziałem krew na duszy mojej [rozlega się stukanie przez drzwi].« To ty Janek? [stukanie ponowne]. Qui est là? [stukanie]. Entrez [wchodzi Andrzej].

ZOFIA [z przerażeniem, zrywając się z miejsca]. Andrzej!

[Str. 180]

ANDRZEJ [spokojnie]. Dobry wieczór Zofio!

ZOFIA [z trwogą obłądną]. Gdzie Janek?

ANDRZEJ [poważnie]. Czego się lękasz? Uspokój się. Przyszedłem teraz, bo tylko ciebie chciałem widzieć. Szukałem cię wszędzie. Byłem w Berlinie, w Wiedniu, Szwajcaryi, tu jestem już od miesiąca i dopiero wczoraj wieczorem cię spotkałem. Co się z tobą stało, co się z tobą stało? Jak ty wyglądasz tutaj?

ZOFIA [bezdźwięcznie, z przygnębieniem]. Co się ze mną stało, czy ja wiem.

ANDRZEJ. Nie, to być nie może, nie może. Za coś ty mnie opuściła? Bez słowa jednego rzuciłaś mnie jak łachman. Wracam, jak zawsze, z biura, przychodzę do domu, szukam cię po wszystkich pokojach. Służący powiada mi, że pani wyszła i podaje mi kartkę twoją. Nie, to być nie może, ja temu nie wierzę—to nieprawda, to sen. Nikt o tem w Warszawie nie wie, moja matka codzień pyta się ciebie—ona kochała cię jak własną córkę. A ty taka święta, taka czysta, ty tutaj, ty...

ZOFIA [szybko]. Nie mów! nie myśl tak o mnie Andrzej! Ty mnie znasz, tyś był moim mężem, ty wiesz, jaka ja jestem. To nie rozpusta, nie, nie rozpusta, co mnie tu przywiodła, [prawie tkliwie]. Przysięgam tobie...

ANDRZEJ [z uczuciem głębokiego bólu]. Nie?... Wiec tyś mnie nie kochała—to był fałsz, twoja miłość, twoje szczęście, uśmiechy, wesołość, pustota. To była komedia, twoja radość, te podróże nasze... Jak dziecko nosiłem cię na rękach. Przytulałaś się do mnie, zarzucałaś mi ręce na szyję. To była komedia.

[Str. 181]

ZOFIA [jednocześnie, przyciszonym głosem]. Tyś był bardzo silny, Andrzej.

ANDRZEJ. To wszystko komedia. Więc ty nie byłaś szczęśliwą ze mną? Powiedz, powiedz!

ZOFIA [bardzo smutnie]. Szczęśliwą? tak mi się może zdawało niegdyś; nie, nie było we mnie fałszu, choć dziś wiem, że nie byłam szczęśliwą. Ale ja i tu nią nie jestem.

ANDRZEJ. Nie byłaś szczęśliwą... Czemu? czemu? Co ja ci zawiniłem Zofio?

ZOFIA [głośniej, szczerze]. Andrzej, ty nie gardź mną. Ty nawet nie wiesz, jak ja cię szanuję. Mnie dużo, dużo mówiono o tobie, jeszcze nim byłam twoją żoną. Mnie taki wstyd ogarnia, kiedy ja o tobie pomyślę. Ale ja nie mogłam; ja wiem, tyś był taki dobry dla mnie, otoczyłeś mnie bogactwem, przepychem...

ANDRZEJ [pół szyderczo]. Ty myślisz, że chciałem cię kupić...

ZOFIA ...ja tobie zawdzięczam wszystko. Byłam biedną głupią panienką. Ty z twojem nazwiskiem, twojem znaczeniem, tyś mógł się ożenić nie wiem z kim, tyś wybrał mnie, dałeś mi wszystko, a ja co zrobiłam! [przybliżyła się ku niemu nieśmiało] Andrzej, ja ciebie przepraszam, ja ciebie przepraszam bardzo [chce całować jego rękę].

[Str. 182]

ANDRZEJ [powstrzymuje ją]. Zofio!

ZOFIA [stojąc blisko Andrzeja, oparta z tyłu rękami o stół]. Byłam głupiem, lekkomyślnem dzieckiem: tyś mię psuł, myślałeś tylko o życzeniach moich, tyś mi nigdy nie dał cierpieć, nie pokazałeś mi, co to jest ból. [naiwnie i uczuciowo]. A widzisz, cierpieć trzeba, trzeba się poświęcać. Ja tak chciałam dawniej być szarytką. Mnie przy tobie było za dobrze. O! nie łatwo mi było wyjeżdżać. Mnie i ciebie było bardzo żal, i twojej matki, i małej Anki, która codzień przychodziła do cioci Zosi—wyście wszyscy byli tacy dobrzy dla mnie. Ale mi was było żal dla siebie samej. A on jest taki biedny, taki sam. Ty masz matkę, Ankę, ciebie tylu ludzi kocha, ja tobie nie byłam potrzebna. Ciebie tak życie, praca twoja pochłaniała.—A w nim się dusza tak męczy, rwie, miota—ja się o niego tak bałam. Ty wiesz, jego brat się zastrzelił, on zawsze nosi rewolwer przy sobie. Ja się i dziś o niego lękam, ja go muszę ocalić. On zginie bezemnie. [z rozpaczliwą trwogą]. Przebacz mi, ja nie mogę już teraz kłamać! Czy ty mnie rozumiesz?

ANDRZEJ [spokojnie, nieco ironicznie]. Tak; masz rację. Mnie kochają moi robotnicy, urzędnicy, wszyscy chłopci u nas w Golewicach. I ja ich kocham. Los dał mi majątek, dał mi obowiązki. Tyś nie była przy śmierci mego ojca; to, co on zostawił, ja dokończyć muszę. Ale i ja chciałem mieć coś wyłącznie dla siebie, jeden promień złoty w życiu, jeden pogodny blask dla mnie tylko. Tyś była tym blaskiem moim. Chciałem cię mieć tak radosną, chciałem, żeby cię nic nie dotknęło, żeby nic nie płoszyło twojego uśmiechu. Nie mówiłem ci nigdy o zgryzotach swych, o zawodach. Nie znałaś mnie. Mnie jest bez ciebie bardzo ciężko—ale nie mylisz się—mnie się nic nie stanie, mnie się nie może nic stać...

[Str. 183]

ZOFIA [boleśnie]. Nie mów, nie mów...

ANDRZEJ. Ale jest mi ciężko. I trzeba to kryć. Oni nie wiedzą o niczem. Ty dla nich jesteś na wsi. Ja nigdy nic nie kryłem przed matką, ale matka moja nawet sobie nie wyobraża, że coś podobnego być może; jej się w głowie pomiesza, jeśli się dowie...

ZOFIA. Andrzej, miej litość nademną.

ANDRZEJ [prosząco, namiętnie]. Zofio, Zosiu, ty wrócisz do mnie, ty musisz wrócić. Zapomnimy o wszystkim. Zaczniemy nowe życie. Tak, ja byłem szczęśliwy, silny, dumny, ale i ja tak chciałem być kochany. Jeśli nadzieję stracę, że ty wrócisz do mnie, to będę wiedział już, żeś mnie oszukiwała zawsze. Nie byłem kochany nigdy—powiedz jest—żem podlejszy od innych?

[Str. 184]

ZOFIA [jakby z wahaniem i niedowierzając sobie]. Wrócić, wrócić? Tybyś chciał mnie dzisiaj mieć taką, po tem wszystkim? I czy ty naprawdę sądzisz, że jabym się mogła zbliżyć do twej matki?

ANDRZEJ [namiętniej]. Dla matki chociaż mnie nie poświęcaj, Zofio; a ja, ja zapomnę. Ty wiesz że ja umiem rozkazywać sobie... ja zapomnę. Nie odtrącaj mnie od siebie!

ZOFIA [zupełnie bezdzwięcznym głosem]. Nie można, nie można.

ANDRZEJ. Zofio, ty się tu zgubisz. Ja go znam, on spali ciebie i siebie. On ciebie nie kocha.

ZOFIA [żywiej znacznie]. Nie mów tego do mnie.

...Drzwi się uchylają zlekka i w drzwiach półotwartych ukazuje się Karski; nieruchomo przygląda się Zofii i Andrzejowi, którzy go nie dostrzegają. Na twarzy Karskiego zupełna nieruchomość z wolna ustępuje wyrazowi bólu, wargi się ściskają, zmarszczki nadbiegają nad oczy. W rękę Karski trzyma małą paczkę i białą różę.

ANDRZEJ [silniej, nieco pogardliwie i wyniośle]. Ja nie kłamię. Tyle wiesz o mnie, zem nie kłamał nigdy. Na grób ojca ci przysięgam, że on cię nie kocha. Ja znam te dusze, bezsilne, rozbite, które nic nie stworzą i nic nie oszczędzą. On się nawet poświęcić nie umiał, on cię zabrał na nędzę, srom i hańbę—i on ciebie kocha! [Str. 185]

ZOFIA [wybuchowo, rozpaczliwie]. Tak, on mnie kocha nad życie. Ty jego nie potępiaj, ja sama wszystkiego chciałam. On temu nie jest winien.

ANDRZEJ [prosząco, szczerze]. Zosiu, zlituj się nad sobą. Ufaj mi. Gdybym wiedział, że znajdziesz tu szczęście, któregoś zemną nie miała, że on ciebie jest godzien, dałbym ci swobodę, niezależność, nie widziałabyś mnie więcej, nie stanąłbym już nigdy na twej drodze. Nie zasłużyłem u ciebie twej miłości, nie dałem ci szczęścia, mniejsza więc o mnie. Przysięgałem ci jednak wiarę, że cię nie opuszczę; jesteś moją żoną, ja nie mogę pozwolić, abyś ty się zgubiła—a tu czeka cię tylko zguba. Możesz nie żyć ze mną, możesz nie znać mnie, ale ztąd uciekaj!

ZOFIA [ze łzami w głosie wciąż rosnącym]. Ty mnie zabijasz twą dobrocią. Ty jesteś święty—a ja taka podła byłam z tobą. [prawie owładnięta już płaczem]. Ale ty mi wierzysz, że ja ciebie kochałam, ja może i dziś ciebie jeszcze Kocham... [Str. 186]

ANDRZEJ. Zosiu, więc ty wrócisz do mnie, wrócisz?

ZOFIA [spokojniej, z wielkim wysiłkiem]. Nigdy, nigdy. Ty się nie łudź, Andrzej... Ja się będę u nóg twoich tarzać, ja mogę głowę położyć pod twą stopę, abyś mię zdeptał, jak ladacznice, ale ja nie wrócę, nie! Słuchaj, gdybym go nawet kochać przestała, gdyby on nie żył, nie wrócę do ciebie, nie wrócę...

ANDRZEJ. Tak bardzo go kochasz?

ZOFIA [nie mogąc przenieść wzruszenia]. Tak, tak Kocham jego, jego—i już nie tylko jego!! [spazmatyczny płacz. Odwraca się od Andrzeja, pada na kanapę, kryjąc twarz w rękę].

ANDRZEJ. Jezus Marya!! [ciszej znacznie, prawie bezmyślnie] Jezus Marya... [spokojnie] O dziecku twojem nie zapomnę, Zofio! [zwraca się ku wyjściu, spostrzega Karskiego. Karski podchodzi z wolna na przód pokoju].

KARSKI [do Andrzeja]. Pamiętaj pan i o niej [do Zofii, która patrzy nań prawie osłupiała]. Tyś krzywoprzysięgła dzisiaj Zosiu; on ciebie więcej kochał.

[wychodzi z pokoju, długa chwila ciszy, słychać strzał i odgłos ciała, spadającego po schodach]. [Str. 187]

ZOFIA [krzyk straszny, przeraźliwy]. Aah!

Koniec sztuki.

TREŚĆ.

[Str. 189]

	Str.	[Str. 191]
JEDEN MIESIĄC ŻYCIA	1	
HAMLET	65	
PRZYSIĘGLY	85	
SPOTKANIE	115	
W PEŁNEM SŁOŃCU, sielanka	133	
PIERWSZY WIERSZ	145	
TRZY DUSZE, dramat w jednym akcie	159	

Uwagi do wydania elektronicznego.

Dokonano następujących poprawek:

tekst

strona	tekst pierwotny	poprawiony	uwagi
9	podobało sie	<u>podobało się</u>	'e' zamieniono na 'ę'.
10	doskonanym	<u>doskonałym</u>	'n' zamieniono na 'ń'.
10	powiedzizć	<u>powiedzieć</u>	'z' zamieniono na 'e'.
15	gruduia	<u>grudnia</u>	'u' zamieniono na 'n'.
38	modgło,	<u>mogło.</u>	Przecinek zamieniono na kropkę.
40	yną	<u>jedyną</u>	'yną' zamieniono na 'jediną'
41	swiata	<u>świata</u>	's' zamieniono na 'ś'
47	zwierze	<u>zwierzę</u>	'e' zamieniono na 'ę'
57	do	<u>po</u>	'do' zamieniono na 'po'
62	Włbściwie	<u>Właściwie</u>	'b' zamieniono na 'a'
62	planu,	<u>planu.</u>	Przecinek zamieniono na kropkę
63	jakdybym	<u>jakgdybym</u>	'jakdybym' zamieniono na 'jakgdybym'
78	Naprożno	<u>Napróżno</u>	'o' zamieniono na 'ó'
87	wszystkie	<u>wszystkie</u>	Dodano 't'.
95	znany	<u>znany.</u>	Dodano kropkę
120	»»	<u>»</u>	Usunięto cudzysłów.
122	dostrzedz	<u>dostrzec</u>	'dz' zamieniono na 'c'.
124	kolana,	<u>kolana.</u>	Przecinek zamieniono na kropkę.
143	niobezpieczeństwo	<u>niebezpieczeństwo</u>	'o' zamieniono na 'e'.
143	Czemu	<u>Czemu.</u>	Dodano przecinek.
148	wyobraźnia	<u>wyobraźnia</u>	'ż' zamieniono na 'ź'.
149	tęskoty	<u>tęsknoty</u>	Dodano 'n'.
153	jakydyby	<u>jakgdyby</u>	'y' zamieniono na 'g'.
162	Uspokój - że	<u>Uspokój-że</u>	Usunięto przerwy.
167	chciałem	<u>chciałam</u>	Poprawiono rodzaj.
170	widziałem	<u>widziałam</u>	Poprawiono rodzaj.
170	KARSKI	<u>KARSKI.</u>	Dodano kropkę.
176	w Journalu	<u>w Journalu.</u>	Dodano kropkę.
177	czytywałem	<u>czytywałam</u>	Poprawiono rodzaj.
178	łudzą	<u>łudzę</u>	Poprawiono osobę.

*** END OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK JEDEN MIESIĄC ŻYCIA: UTWORY PROZĄ ***

Updated editions will replace the previous one—the old editions will be renamed.

Creating the works from print editions not protected by U.S. copyright law means that no one owns a United States copyright in these works, so the Foundation (and you!) can copy and distribute it in the United States without permission and without paying copyright royalties. Special rules, set forth in the General Terms of Use part of this license, apply to copying and

distributing Project Gutenberg™ electronic works to protect the PROJECT GUTENBERG™ concept and trademark. Project Gutenberg is a registered trademark, and may not be used if you charge for an eBook, except by following the terms of the trademark license, including paying royalties for use of the Project Gutenberg trademark. If you do not charge anything for copies of this eBook, complying with the trademark license is very easy. You may use this eBook for nearly any purpose such as creation of derivative works, reports, performances and research. Project Gutenberg eBooks may be modified and printed and given away—you may do practically ANYTHING in the United States with eBooks not protected by U.S. copyright law. Redistribution is subject to the trademark license, especially commercial redistribution.

START: FULL LICENSE
THE FULL PROJECT GUTENBERG LICENSE
PLEASE READ THIS BEFORE YOU DISTRIBUTE OR USE THIS WORK

To protect the Project Gutenberg™ mission of promoting the free distribution of electronic works, by using or distributing this work (or any other work associated in any way with the phrase “Project Gutenberg”), you agree to comply with all the terms of the Full Project Gutenberg™ License available with this file or online at www.gutenberg.org/license.

Section 1. General Terms of Use and Redistributing Project Gutenberg™ electronic works

1.A. By reading or using any part of this Project Gutenberg™ electronic work, you indicate that you have read, understand, agree to and accept all the terms of this license and intellectual property (trademark/copyright) agreement. If you do not agree to abide by all the terms of this agreement, you must cease using and return or destroy all copies of Project Gutenberg™ electronic works in your possession. If you paid a fee for obtaining a copy of or access to a Project Gutenberg™ electronic work and you do not agree to be bound by the terms of this agreement, you may obtain a refund from the person or entity to whom you paid the fee as set forth in paragraph 1.E.8.

1.B. “Project Gutenberg” is a registered trademark. It may only be used on or associated in any way with an electronic work by people who agree to be bound by the terms of this agreement. There are a few things that you can do with most Project Gutenberg™ electronic works even without complying with the full terms of this agreement. See paragraph 1.C below. There are a lot of things you can do with Project Gutenberg™ electronic works if you follow the terms of this agreement and help preserve free future access to Project Gutenberg™ electronic works. See paragraph 1.E below.

1.C. The Project Gutenberg Literary Archive Foundation (“the Foundation” or PGLAF), owns a compilation copyright in the collection of Project Gutenberg™ electronic works. Nearly all the individual works in the collection are in the public domain in the United States. If an individual work is unprotected by copyright law in the United States and you are located in the United States, we do not claim a right to prevent you from copying, distributing, performing, displaying or creating derivative works based on the work as long as all references to Project Gutenberg are removed. Of course, we hope that you will support the Project Gutenberg™ mission of promoting free access to electronic works by freely sharing Project Gutenberg™ works in compliance with the terms of this agreement for keeping the Project Gutenberg™ name associated with the work. You can easily comply with the terms of this agreement by keeping this work in the same format with its attached full Project Gutenberg™ License when you share it without charge with others.

1.D. The copyright laws of the place where you are located also govern what you can do with this work. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of your country in addition to the terms of this agreement before downloading, copying, displaying, performing, distributing or creating derivative works based on this work or any other Project Gutenberg™ work. The Foundation makes no representations concerning the copyright status of any work in any country other than the United States.

1.E. Unless you have removed all references to Project Gutenberg:

1.E.1. The following sentence, with active links to, or other immediate access to, the full Project Gutenberg™ License must appear prominently whenever any copy of a Project Gutenberg™ work (any work on which the phrase “Project Gutenberg” appears, or with which the phrase “Project Gutenberg” is associated) is accessed, displayed, performed, viewed, copied or distributed:

This eBook is for the use of anyone anywhere in the United States and most other parts of the world at no cost and with almost no restrictions whatsoever. You may copy it, give it away or re-use it under the terms of the Project Gutenberg License included with this eBook or online at www.gutenberg.org. If you are not located in the United States, you will have to check the laws of the country where you are located before using this eBook.

1.E.2. If an individual Project Gutenberg™ electronic work is derived from texts not protected

by U.S. copyright law (does not contain a notice indicating that it is posted with permission of the copyright holder), the work can be copied and distributed to anyone in the United States without paying any fees or charges. If you are redistributing or providing access to a work with the phrase "Project Gutenberg" associated with or appearing on the work, you must comply either with the requirements of paragraphs 1.E.1 through 1.E.7 or obtain permission for the use of the work and the Project Gutenberg™ trademark as set forth in paragraphs 1.E.8 or 1.E.9.

1.E.3. If an individual Project Gutenberg™ electronic work is posted with the permission of the copyright holder, your use and distribution must comply with both paragraphs 1.E.1 through 1.E.7 and any additional terms imposed by the copyright holder. Additional terms will be linked to the Project Gutenberg™ License for all works posted with the permission of the copyright holder found at the beginning of this work.

1.E.4. Do not unlink or detach or remove the full Project Gutenberg™ License terms from this work, or any files containing a part of this work or any other work associated with Project Gutenberg™.

1.E.5. Do not copy, display, perform, distribute or redistribute this electronic work, or any part of this electronic work, without prominently displaying the sentence set forth in paragraph 1.E.1 with active links or immediate access to the full terms of the Project Gutenberg™ License.

1.E.6. You may convert to and distribute this work in any binary, compressed, marked up, nonproprietary or proprietary form, including any word processing or hypertext form. However, if you provide access to or distribute copies of a Project Gutenberg™ work in a format other than "Plain Vanilla ASCII" or other format used in the official version posted on the official Project Gutenberg™ website (www.gutenberg.org), you must, at no additional cost, fee or expense to the user, provide a copy, a means of exporting a copy, or a means of obtaining a copy upon request, of the work in its original "Plain Vanilla ASCII" or other form. Any alternate format must include the full Project Gutenberg™ License as specified in paragraph 1.E.1.

1.E.7. Do not charge a fee for access to, viewing, displaying, performing, copying or distributing any Project Gutenberg™ works unless you comply with paragraph 1.E.8 or 1.E.9.

1.E.8. You may charge a reasonable fee for copies of or providing access to or distributing Project Gutenberg™ electronic works provided that:

- You pay a royalty fee of 20% of the gross profits you derive from the use of Project Gutenberg™ works calculated using the method you already use to calculate your applicable taxes. The fee is owed to the owner of the Project Gutenberg™ trademark, but he has agreed to donate royalties under this paragraph to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation. Royalty payments must be paid within 60 days following each date on which you prepare (or are legally required to prepare) your periodic tax returns. Royalty payments should be clearly marked as such and sent to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation at the address specified in Section 4, "Information about donations to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation."
- You provide a full refund of any money paid by a user who notifies you in writing (or by e-mail) within 30 days of receipt that s/he does not agree to the terms of the full Project Gutenberg™ License. You must require such a user to return or destroy all copies of the works possessed in a physical medium and discontinue all use of and all access to other copies of Project Gutenberg™ works.
- You provide, in accordance with paragraph 1.F.3, a full refund of any money paid for a work or a replacement copy, if a defect in the electronic work is discovered and reported to you within 90 days of receipt of the work.
- You comply with all other terms of this agreement for free distribution of Project Gutenberg™ works.

1.E.9. If you wish to charge a fee or distribute a Project Gutenberg™ electronic work or group of works on different terms than are set forth in this agreement, you must obtain permission in writing from the Project Gutenberg Literary Archive Foundation, the manager of the Project Gutenberg™ trademark. Contact the Foundation as set forth in Section 3 below.

1.F.

1.F.1. Project Gutenberg volunteers and employees expend considerable effort to identify, do copyright research on, transcribe and proofread works not protected by U.S. copyright law in creating the Project Gutenberg™ collection. Despite these efforts, Project Gutenberg™ electronic works, and the medium on which they may be stored, may contain "Defects," such as, but not limited to, incomplete, inaccurate or corrupt data, transcription errors, a copyright or other intellectual property infringement, a defective or damaged disk or other medium, a computer virus, or computer codes that damage or cannot be read by your

equipment.

1.F.2. LIMITED WARRANTY, DISCLAIMER OF DAMAGES - Except for the “Right of Replacement or Refund” described in paragraph 1.F.3, the Project Gutenberg Literary Archive Foundation, the owner of the Project Gutenberg™ trademark, and any other party distributing a Project Gutenberg™ electronic work under this agreement, disclaim all liability to you for damages, costs and expenses, including legal fees. YOU AGREE THAT YOU HAVE NO REMEDIES FOR NEGLIGENCE, STRICT LIABILITY, BREACH OF WARRANTY OR BREACH OF CONTRACT EXCEPT THOSE PROVIDED IN PARAGRAPH 1.F.3. YOU AGREE THAT THE FOUNDATION, THE TRADEMARK OWNER, AND ANY DISTRIBUTOR UNDER THIS AGREEMENT WILL NOT BE LIABLE TO YOU FOR ACTUAL, DIRECT, INDIRECT, CONSEQUENTIAL, PUNITIVE OR INCIDENTAL DAMAGES EVEN IF YOU GIVE NOTICE OF THE POSSIBILITY OF SUCH DAMAGE.

1.F.3. LIMITED RIGHT OF REPLACEMENT OR REFUND - If you discover a defect in this electronic work within 90 days of receiving it, you can receive a refund of the money (if any) you paid for it by sending a written explanation to the person you received the work from. If you received the work on a physical medium, you must return the medium with your written explanation. The person or entity that provided you with the defective work may elect to provide a replacement copy in lieu of a refund. If you received the work electronically, the person or entity providing it to you may choose to give you a second opportunity to receive the work electronically in lieu of a refund. If the second copy is also defective, you may demand a refund in writing without further opportunities to fix the problem.

1.F.4. Except for the limited right of replacement or refund set forth in paragraph 1.F.3, this work is provided to you ‘AS-IS’, WITH NO OTHER WARRANTIES OF ANY KIND, EXPRESS OR IMPLIED, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO WARRANTIES OF MERCHANTABILITY OR FITNESS FOR ANY PURPOSE.

1.F.5. Some states do not allow disclaimers of certain implied warranties or the exclusion or limitation of certain types of damages. If any disclaimer or limitation set forth in this agreement violates the law of the state applicable to this agreement, the agreement shall be interpreted to make the maximum disclaimer or limitation permitted by the applicable state law. The invalidity or unenforceability of any provision of this agreement shall not void the remaining provisions.

1.F.6. INDEMNITY - You agree to indemnify and hold the Foundation, the trademark owner, any agent or employee of the Foundation, anyone providing copies of Project Gutenberg™ electronic works in accordance with this agreement, and any volunteers associated with the production, promotion and distribution of Project Gutenberg™ electronic works, harmless from all liability, costs and expenses, including legal fees, that arise directly or indirectly from any of the following which you do or cause to occur: (a) distribution of this or any Project Gutenberg™ work, (b) alteration, modification, or additions or deletions to any Project Gutenberg™ work, and (c) any Defect you cause.

Section 2. Information about the Mission of Project Gutenberg™

Project Gutenberg™ is synonymous with the free distribution of electronic works in formats readable by the widest variety of computers including obsolete, old, middle-aged and new computers. It exists because of the efforts of hundreds of volunteers and donations from people in all walks of life.

Volunteers and financial support to provide volunteers with the assistance they need are critical to reaching Project Gutenberg™’s goals and ensuring that the Project Gutenberg™ collection will remain freely available for generations to come. In 2001, the Project Gutenberg Literary Archive Foundation was created to provide a secure and permanent future for Project Gutenberg™ and future generations. To learn more about the Project Gutenberg Literary Archive Foundation and how your efforts and donations can help, see Sections 3 and 4 and the Foundation information page at www.gutenberg.org.

Section 3. Information about the Project Gutenberg Literary Archive Foundation

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation is a non-profit 501(c)(3) educational corporation organized under the laws of the state of Mississippi and granted tax exempt status by the Internal Revenue Service. The Foundation’s EIN or federal tax identification number is 64-6221541. Contributions to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation are tax deductible to the full extent permitted by U.S. federal laws and your state’s laws.

The Foundation’s business office is located at 809 North 1500 West, Salt Lake City, UT 84116, (801) 596-1887. Email contact links and up to date contact information can be found at the Foundation’s website and official page at www.gutenberg.org/contact

Section 4. Information about Donations to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation

Project Gutenberg™ depends upon and cannot survive without widespread public support and donations to carry out its mission of increasing the number of public domain and licensed works that can be freely distributed in machine-readable form accessible by the widest array of equipment including outdated equipment. Many small donations (\$1 to \$5,000) are particularly important to maintaining tax exempt status with the IRS.

The Foundation is committed to complying with the laws regulating charities and charitable donations in all 50 states of the United States. Compliance requirements are not uniform and it takes a considerable effort, much paperwork and many fees to meet and keep up with these requirements. We do not solicit donations in locations where we have not received written confirmation of compliance. To SEND DONATIONS or determine the status of compliance for any particular state visit www.gutenberg.org/donate.

While we cannot and do not solicit contributions from states where we have not met the solicitation requirements, we know of no prohibition against accepting unsolicited donations from donors in such states who approach us with offers to donate.

International donations are gratefully accepted, but we cannot make any statements concerning tax treatment of donations received from outside the United States. U.S. laws alone swamp our small staff.

Please check the Project Gutenberg web pages for current donation methods and addresses. Donations are accepted in a number of other ways including checks, online payments and credit card donations. To donate, please visit: www.gutenberg.org/donate

Section 5. General Information About Project Gutenberg™ electronic works

Professor Michael S. Hart was the originator of the Project Gutenberg™ concept of a library of electronic works that could be freely shared with anyone. For forty years, he produced and distributed Project Gutenberg™ eBooks with only a loose network of volunteer support.

Project Gutenberg™ eBooks are often created from several printed editions, all of which are confirmed as not protected by copyright in the U.S. unless a copyright notice is included. Thus, we do not necessarily keep eBooks in compliance with any particular paper edition.

Most people start at our website which has the main PG search facility: www.gutenberg.org.

This website includes information about Project Gutenberg™, including how to make donations to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation, how to help produce our new eBooks, and how to subscribe to our email newsletter to hear about new eBooks.